

Co dalej  
„Avio”  
i „Motorze”?

Lubelskie sylwetki  
Zawód: dziennikarz  
Mówi red. Lesław Gnot  
str.4-5

Sopockie  
DO-LA-RÓwanie  
str.6  
Zgromadzenie Świadków  
Jehowy w Lublinie  
str.12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Kamena

NR 18 (890)

6 września 1987

Cena 20 zł



Rys. Wiesław Fuglewicz

P.L. ISSN 0137-7146 Nr indeksu 34214

## Taki gips!

**M**ATERIA tej sprawy jest krusza i pomarszczona jak skóra na twarzy występnej staruszki. W jej skład wchodzi: farby gipsy, płótna blejtramy, euforia administracji kulturalnej, niechlujstwo i niekompetencja, inspektor Urzędu Wojewódzkiego i bogom ducha winny dyrektor domu kultury w Bełżycach, którym to obiektem zawiadywała niegdyś panna W.

Za jej to kadencji o kulturze bełżyckiej głośno było w województwie, a nawet w stolicy. PDK zasłynął między innymi dzięki temu, że dość systematycznie urządzał wystawy współczesnych malarzy i grafików z różnych ośrodków kraju. A jak się rozpędził, zaczął uszczęśliwiać estetycznie szerokie masy rolników w okolicznych klubach „Ruchu” i „Rolnika”. Ten gest, ten szpan, ten kaganiec oświaty artystycznej tak przypadł do gustu Departamentowi Plastyki MKiS z czasów dyrektury pana K., że nie bacząc na realne zainteresowanie lokalnej społeczności sztuką, wyłożył pieniądze i od 17 artystów lubelskich kupił 29 obrazów olejnych lub zrobionych w tzw. technikach mieszanych (5), którymi na ogół posługują się artyści o aspiracjach „awangardowych” bez ukończenia studiów akademickich. I całe to dobro podarowano PDK-owi w Bełżycach, ustanawiając tym samym pierwszą w województwie i jedną z nielicznych w kraju Powiatową Galerię Malarstwa Współczesnego.

Na okoliczność otwarcia Galerii (1970 r.) zjechała do Bełżyc śmietanka łowczyko-administracyjna Lublina, niezły garnitur warszawski, prasa i telewizja (a może tylko fotoreporterzy?). Byłem tam, widziałem, młód piłem i zastanawiałem się (są dowody!), kiedy to wszystko się rozleci, choćby ze względu na skromne raczej warunki ekspozycyjne i brak możliwości konserwowania płócien.

Dokończenie na str. 11

## Jarocin '87

# Czy tu biją?

Wiesław Horabik



Fot. Andrzej Zaucha

### Noc pierwsza, czyli Klub Kibica

Nocny pociąg do Poznania. Niewielu lubelskich fanów. Ale to złudzenie. W pewnej chwili okaże się, że zajmują cały wagon. Naprzeciw pociąg nad morze wypchany do granic możliwości „spokojnymi” obywatelami. Jada na zasłużony odpoczynek. Na peronie nawet rodzinne psy. Pociąg poznański żegna tymczasem jedynie przytulona do żołnierza dziewczyna. Na korytarzu dwójka ludzi w skórzanych kurtkach. (Chłopak zgubi potem dziewczynę w odruchu meskiego zbratania przy piwie). Bardzo grzeczni i bardzo ukladni. „Mama mówiła, że gdyby ona z nami pojechała, to dopiero byłby szal”. Wielu fanów robi się na punka dopiero w pociągu. Po powrocie znów są „gotowi

by włożyć szkolne mundurki. Mój przedział wypełnia się w Radomiu. Trzej młodzi ludzie noszą na przegubach rękawice skórzane „pieszczochy” i fińskie kurtki z czarnej skóry. Odczuwam dreszcz niepokoju. Oni tymczasem rozmawiają półgłosem o muzyce. „Armia” jest najlepsza. Ja słucham tylko „Armii”. Bezustannie pala papierosy. Anglicy mówią o takich chain-smokers. Grzecznie pytają, czy mogą uchylić okno. Potem dwóch z nich zaczyna się układać do snu. (Jest po północy). Trzeci idzie przywitać się z „Lublinem”. Na korytarzu klekocze szkło. To lubelscy punkowie obchodzą wagon z piwnym poczustunkiem. Jakaś dziewczyna krzyczy przeraźliwie. Robi się trochę goręcej. Kiedy „Kusy”

wraca do przedziału, nie może już mówić (alkohol, klej czy coś jeszcze?). Potem przychodzi ci od piwa. Biora ode mnie po papierosie. Piwo nie jest jednak dla „fraterów”. Z magnetofonu płyną ostre teksty: o zagładzie ludzkości i morzu krwi. Dochodzi „Lokiec” z Tomaszowa. Ciężko zwala się na siedzenie. Głos ma cichy i łamiący się. Z papierowej torebki, tak ta na cukierki, wyjmuję jakieś papierosy. Maja dziwny zapach. Przez półotwarte okno dudni wiatr. O trzeciej nad ranem powoli cichnie wagon. O 5.35 jesteśmy w Jarocinie. Podróżowałem kiedyś z Klubem Kibica Lesi. To był koszmar.

Dokończenie na str. 8-9

# z notatnika

30 VIII. Ostatni raz w Brześciu byłem w listopadzie 1985 r. Byłem... — może zbyt szumnie się wyraziłem. Jechaliśmy z Marianem Flejsierowiczem, poznańskim dziennikarzem, do Moskwy. W Brześciu nasz pociąg stał około czterech godzin, zaprowadziłem więc Mariana do redakcji zaprzyjaźnionej z „Kurierem Lubelskim” — „Zarił”, gdzie, jak zwykle gościnnie, Piotr Sućko, redaktor naczelny tego dziennika, użyczył nam samochodu i Marian mógł obejrzeć Twierdzę Brzeską.

Wspominam o tym, bo właśnie znów wróciłem z Brześcia, gdzie przebywałem przez dwa dni z grupą lubelskich dziennikarzy. Jednocześnie grupa dziennikarzy brzeskich gościła na Ziemi Lubelskiej. Przyjazne kontakty między naszymi miastami nadal się zacieśniają, powiedziałbym, że nabrały teraz przyspieszenia.

Program pobytu był dość urozmaicony: wizyta w kombinacie pończosznym im. 50-lecia Wielkiego Października, kolchozie „Pamięć Pijicy”, zwiedzanie Twierdzy Brzeskiej. Nie czyniłem żadnych notatek, traktowałem tę wizytę raczej relaksowo.

Brześć bardzo się rozbudował, dziś liczy już ponad 230 tysięcy mieszkańców. Na obrzeżach wyrosły nowe dzielnice, a z centrum miasta w szybkim tempie znikają stare, drewniane budynki. Zaopatrzenie jest — nieźle, chociaż tu i ówdzie gromadzą się kolejki; bodaj najdłuższą widziałem przed sklepem meblowym. Duży wybór ryb i konserw rybnych. Sporo różnego rodzaju soków i wód mineralnych. Mięso zauważyłem głównie w postaci rąbki, a z drobiu — kurczaki (kilogram ponad dwa ruble). Gorzej przedstawia się zaopatrzenie w warzywa: w sklepie dostrzegłem tylko kapustę, buraki i marchew, a także smalec ciemne wiaogrona, tanie zresztą, bo po 60 kopiejek za kilogram i arbuzy również po 60 kopiejek za kilogram. Nikt się po nie nie pchał. Natomiast rozkupowano dynie. Czosnku o dziwo, zatrzęsienie. Bardzo tani — po dwa ruble za kilogram. Nie wiem, dlaczego w ramach wymiany przygranicznej nie zainteresujemy się tym tak drogiem u nas towarem? Z produktów polskich wszędzie widziałem grochówkę w torebkach z „Winiar”. W centrum miasta nie można było dostać kawy. Podobno właśnie Polacy przede wszystkim ją wykupują. To samo z czekoladą. Tabliczka po dwa i pół rubla, ale spotkałem je tylko w sklepie na peryferiach.

W piątek wieczorem nie chciało mi się wspólnie iść do cyrku (przyjechali artyści z Rostowa). Zajrzałem do wnętrza małej restauracji, położonej poza centrum miasta. Na większości stolików widniała tabliczka z napisem „zarezerwowany”, no ale dla inostranca znalazło się miejsce przy dużym stole. Zamówiłem piwo, kiepskiej reszta jakości, a w dodatku ciepłe. Kelnerka oznajmiła, że chłodziarka się

popsuła. Obejrzałem szczegółowo menu, ceny dań mięsnych wahały się w granicach półtora — dwa i pół rubla. Wybrałem danie najtańsze: jakiegoś mięso w cieście, do tego frytki i... kilka główek czosnku. Pomyślałem, że u nas ów czosnek kosztowałby więcej niż samo mięso!

Pojawiła się orkiestra, a lokal zaczął się coraz bardziej zaludniać. Do mego stolika podeszło kilka dziewcząt, pytając, czy miejsca są wolne. Odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, że tak, ale potem kręcąc się po sali przystojna pani zaczęła z dziewczętami dyskusję, ostatecznie jednak, może ze względu na mnie, bądź co bądź gościa z zagranicy, pozwoliła im zostać. Okazało się, że jedna z tych dziewcząt obchodziła właśnie tego dnia urodziny.

Moje współtowarzyski przy biesiadnym stole również poprosiły o menu, po czym zamówiły zimne przystawki mięsne, sałatkę z pomidorów i... 400 gramów czystej wódki. „Dlaczego nie bierzecie pół litra?” — zapytałem. „A bo wolno zamówić tylko po sto gram na osobę” — odpowiedziała jedna z nich. Jak się okazało w dalszej rozmowie, pracuje ona właśnie w tym kombinacie, który odwiedziliśmy.

Dziewczęta od czasu do czasu oglądają polską telewizję, najbardziej podoba im się kino nocne, a zwłaszcza horrory. Były zawiedzione, że ostatnio tych horrorów coraz mniej. Tylko jedna z nich „gościła” w Polsce, ale i tak oglądała nasz kraj tylko z okien pociągu, gdyż jechała z wycieczką do NRD.

Co działo się dalej z dziewczętami, czy ktoś je poderwał do tańca — tego już nie wiem, gdyż długie w lokalu nie byłem. Wychodząc spostrzegłem na drzwiach kartkę informującą, że wolnych miejsc nie ma. Portier wpuszczał jednak jakąś parę — może miała zarezerwowany stolik?

Obok restauracji mieścił się sklep spożywczy. Uplynęła już godzina dwudziesta pierwsza, a on ciągle był otwarty. Stosowna kartka głosiła, że zamyka się go dopiero o godzinie dwudziestej trzeciej. Plus dla radzieckiego handlu! A dodam w tym miejscu, że następnego dnia, w sobotę, również wszystkie sklepy były otwarte.

Trzeba jeszcze wspomnieć o serdeczności gospodarzy — dziennikarzy brzeskich, a zwłaszcza red. Piotra Sućki, który nie tylko jest szefem „Zarił”, ale również przewodniczący brzeskiemu oddziałowi związku dziennikarzy radzieckich. Poświęcił nam wiele czasu i wyraził publicznie życzenie, aby w przyszłości można było się wzajemnie odwiedzać wraz z rodzinami. Sądzę, że to jest dobra myśl: goszcząc się u siebie w domach, można by zaoszczędzić na hotelach, a poza tym obustronne kontakty nabrałyby jeszcze bardziej nieoficjalnego charakteru.

## Władysław Broniewski



Syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni,  
o czym i ja mam śpiewać, gdy dom mój — ruiny i zgliszcza?  
Jak czołg przetoczył się Wrzesień ziemi ojczystej przez piersi,  
a moja dłoń jest bezbronna i bezbronna jest ziemia ojczysta.

Ja na tę ziemię powrócę, ja chcę ją zbawić, ocalić,  
stamtąd chcę światu płonąć serca i pieśni pożarem,  
chcę, żeby z gruzów Warszawy rósł żelbetonem socjalizm,  
chcę, żeby hejnał mariacki szumiał czerwonym sztandarem.

Dumna i piękna Warszawo, chwała twoim ruinom!  
Chcę zliczyć i ucałować twoje męczeńskie cegły.  
Podaj mi dłoń, Białorusi! Podaj mi dłoń, Ukraino!  
Wy mi dajcie na drogę wasz sierp i młot niepodległy!

Łuno wolności ludów — moc w zaciśniętej pięści!  
Przeminają dni niedalekie i będzie się świat rówieśnić!  
Piszę dłonią bezbronną, groźną, chociaż się nie mści,  
syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni.

Listopad 1939

Wypada mi jeszcze podkreślić, że bardzo sprawnie przebiegało samo przekraczanie granicy, zwłaszcza po stronie radzieckiej. I uwaga końcowa: nie licząc kilku butelek wina (tak, wina!) spotkania oficjalne przebiegały, bezalkoholowo. Chciałoby się dodać, że drzewie nie tak bywało; nasi przyjaciele zza Buga może mniej niż my mówią o walce z pijaństwem, ale więcej czynią w codziennej praktyce. Wódkę sprzedaje się w określonych godzinach w kilku zaledwie sklepach. Trafi się nie tylko duże pieniądze, ale i czas, a często bywa i tak, że gdy się dochodzi do lady, w sklepie nie ma już ani jednej butelki! Prohibicja to nie jest, ale bliżej do niej niż dalej...

31 VIII. Wczoraj w dzienniku telewizyjnym pokazano łódzkie schronisko dla psów. Ludzie wyjeżdżają na urlopy i porzucają zwierzęta, czasami pozostawiają je na drogach. Wywożą do innych miejscowości. Przerażające i okrutne!

Mam psa — kundla, którego jak najsluszniej nazwałem „Ami”. Tak się zdarza, że muszę go czasem na dzień — dwa zostawić pod opieką innych. Opieka jest nienaganna, ale zawsze się boję, że może mu się coś zdarzyć...

Ami przepada za kotami, ale one, niestety, o tym nie wiedzą. We francuskim „Le Figaro Magazin” pisał niedawno Yves Christen na marginesie pracy znanego zoologa i antropologa, Desmonda Morrisa, właśnie o kotach. Posłuchajmy, bo to ciekawe:

„Z chwilą gdy kotu udaje się skłonić chwileczką do otwarcia drzwi, natychmiast wychodzi i ucieka, nie oglądając się za siebie. Dlaczego? Dlatego, że w momencie przekroczenia progu kot się przeobraża: przestaje funkcjonować mózg »kociaka ludzkiego«, a jego miejsce natychmiast zajmuje mózg »dzikiego kota«. W takiej sytu-

acji pies, być może, obejrzałby się na swego ludzkiego towarzysza, aby się przekonać, czy będzie razem z nim żążyć uciechy poszukiwać, ale kot tego nie zrobi. Duch kota unosi się z tą chwilą w innym świecie. Świecie drapieżników, gdzie nie ma miejsca dla dziwnych dwunogich maip”.

I dalej:

„Kot uważa nas za coś w rodzaju »kotów - olbrzymów«. A dlaczego koty siusiają na ściany? Desmond Morris, którego książka stanowi właśnie odpowiedź na wszystkie tego rodzaju pytania, uważa, że oznakowanie terenu funkcjonuje niczym... gazeta. »Każdego ranka czytamy gazetę, aby się dowiedzieć o wszystkim, co się dzieje w naszym ludzkim świecie. Koty ze swej strony przemierzają swój teren i wachając znaki dowiadują się wszystkiego o poczynaniach miejscowej społeczności kociej. W ten sposób mogą sprawdzić, ile czasu upłynęło od ostatniego przejścia jakiegoś kota, mogą rozpoznać znaki pozostawione przez zapach tych, które tędy przeszły, a nawet w przybliżeniu ustalić chwilę, w której owo przejście nastąpiło. Dla kota wszystko jest jakimś sygnałem. Gdy się lasi na powitanie powracającego do domu pana, to chce w ten sposób wchlonać jego zapach. Potem siada w pewnym oddaleniu i zaczyna się wylizywać — nie po to, aby się umyć, ale aby »smakować panas«. Gdy kot zagrzebuje swoje odchody, to nie czyni tego z wrodzonej schludności, ale aby zamaskować swój zapach”.

A dlaczego kot przynosi złowione lupy swemu panu, który na ten widok odwraca się z odrazą? „Dlatego, że zdaje sobie sprawę, iż pan nie potrafi polować i chce go tego nauczyć, jak uczy tego swoje małe...”

Zacząłem od psa, a skończyłem na kocie. I wcale nie sądzę, że to jest temat ogórkowy!

M. A. Jaworski

## KRONIKA KULTURALNA

● Zrealizowany w debreczyńskim Teatrze im. Csokonaiego „Określ” S. Tyma w reżyserii A. Rozhina (dyr. Teatru im. J. Osterwy w Lublinie) został wyróżniony nagrodą przez węgierskie Ministerstwo Kultury i Sztuki.

● Teatr „Provisorium” został zaproszony do udziału w festiwalu w Gandawie (Belgia). Natomiast Ośrodek Praktyk Teatralnych „Gardzieniec” wyjedzie do Wielkiej Brytanii.

kamena 2

● Zespół Pieśni i Tańca „Krajka” działający przy lubelskiej FMR „Agromet” został wyróżniony dyplomem za udział w Tygodniu Kultury Beskidzkiej oraz zaproszony na jubileuszowy dwudziesty piąty Tydzień.

● Muzeum-Palac w Kozłowie zorganizowało wystawę „Walery Rzewuski — fotograf krakowski”.

● 30 sierpnia odbyły się w Lublinie uroczystości promocyjne absolwentów Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności. Z tej okazji zorganizowano dla mieszkańców miasta i regionu szereg imprez kulturalnych, sportowo-rekreacyjnych i rozrywkowych. M.in. kiermasz książek, wystawę amatorskiej twórczości żołnierzy, pokaz paradejny musztry w strojach historycznych. Wystąpiły zespoły: „Desant”, „Akord”, „Akseibanty”, „Jarki”, „Bombardon”, „Telefama”, „Izba-S” i inne. Na zakończenie odbyła się dyskoteka dla młodzieży i zabawa ludowa.

● Również 30 sierpnia Lubelski Dom Kultury zorganizował dla dzieci i młodzieży festyn, wystąpiły m.in.

orkiestry wojskowe, zespół muzyczny „Max” i folklorystyczny „Kos”. Odbyły się pokazy par tanecznych.

● Pod batutą Adama Natanka w Filharmonii Narodowej i Lublinie lubelscy filharmonicy wystąpili z koncertem, uświetniając Światowy Zjazd „Przeciw Wojnie”.

● Podczas Lubelskiego Wrzesnia Muzycznego (organizator — Państwowa Filharmonia Lubelska) wystąpił Krzysztof Penderecki ze swoim utworem „Requiem Polskie”; Państwowy Chór Lolewskiej SRR; wybitny radziecki pianista Wiktor Mierżanow oraz młodzi laureaci konkursów muzycznych. Ponadto odbędzie się uroczysty koncert z okazji jubileuszu pięćdziesiąt lat Fortepianowego PFL.

● Biuro Koncertowe „Bopol” z Warszawy zorganizowało 31 sierpnia na stadionie WKS „Lublinianka” wielki festyn pod nazwą „Pożegnanie wakacji ’87, powitanie szkoły”. W festynie wzięli udział m.in.: Vox, Bolter, 2+1, „Cristof Family” Krzysztofa Krawczyka, „Sybracy”, Jerzy Różycki, Lucjan Czerny.

● W galerii przy ul. Grodzkiej prace malarskie przedstawiają Maria Sękowska i Elwira Wasak, a rzeźbę — Mirosław Rydzak.

● Na I Festiwalu Muzyki Młodzieżowej do Brześcia z naszego regionu zaproszono: grającą heavy metal grupę „Amputacja” z WDK Biała Podlaska i rockowy zespół ZSMP Lublin.

(kop)

## Nie Edward ale Zygmunt

Pomieszały się nam imiona: na imię Edward ma nasz współpracownik — Ingot, a nie Pytlak, którego rysunki zamieściliśmy w poprzednim numerze „Kamena”. Prostujemy więc błąd: ZYGMUNT Pytlak, i pracodawca.

Red.



# Zawód: dziennikarz

## ROZMOWA Z RED. LESŁAWEM GNOTEM

— Kilka miesięcy temu „Kurier Lubelski”, pismo, którego był pan współzałożycielem, i którym kierował pan przez ćwierć wieku (!), skończył trzydziści lat. W 1937 roku wraz z grupą młodych dziennikarzy przecierał pan drogę dla zupełnie nowej (dla Lublina) formy gazety, która z czasem miała się tak bardzo silnie zrosnąć z życiem miasta. W „Kurierze” za pańskiej „kadencji” wychowało się całe nowe pokolenie dziennikarzy, a i pan sam chyba, w jakiejś mierze, „dorastał” w tym zawodzie: przypomnę, że obejmując stanowisko redaktora naczelnego miał pan... dwadzieścia siedem lat, będąc najmłodszym „naczelnym” w kraju! Jak pan, po tylu latach praktyki, pojmuje rolę zawodu dziennikarza; dlaczego pan został dziennikarzem?

— No cóż, od czasów młodości pozostałem wciąż we mnie żywe, choć może dla niektórych: „przestarzałe”, rozumienie zawodu dziennikarskiego przede wszystkim jako służby społecznej. To jest istota tego zawodu. I muszę wyznać, że chociaż dzisiaj człowiek niewątpliwie już wyrósł z różnych młodzieńczych romantycznych rojeń, to gdy, na przykład, ktoś ze znajomych wspomni w rozmowie, abym jego dziecku dopomógł w zdobyciu zawodu dziennikarza, bo chłopak czy dziewczyna nie dostali się... na medycynę (!), to coś mi tam „pika” w sercu... Nie potrafię mego zawodu traktować jako zawodu „zastępczego”.

A dlaczego ja sam zostałem dziennikarzem? To wynikało z wielkiego przeżycia w latach chłopięcych... W 1941 r. do naszego domu, a mieszkaliśmy w Stalowej Woli, młodym przemysłowym mieście, ojciec przyniósł gazetkę podziemną. Czytaliśmy ją wszyscy z ogromnym nabożeństwem. I wtedy postanowiliśmy, że zostaniemy dziennikarzami...

— Jak wypadły pierwsze próby pisania? — O mało nie skończyły się tragicznie. Bo wkrótce, po tym moim pierwszym spotkaniu z prasą konspiracyjną, chwyciłem za pióro, napisałem jakieś straszliwe patriotyczne wier-

szydło, przepisałem je w kilku egzemplarzach i rozwiesiłem na okolicznych drzewach. Zobaczył to sąsiad i powiedział mojemu ojcu, żeby porządnie dał mi w skórę, bo na całą dzielnicę wprowadzą nieszczęście. Ojciec wprawdzie nie zastosował się do rady sąsiada, ale odbył ze mną długą, poważną rozmowę.

— A jak się dla pana naprawdę zaczęła zawód dziennikarza?

— Oczywiście, od nauki. Po zdaniu matury poszedłem na wymarzone studia dziennikarskie, do Krakowa. Po dziś dzień nie wiemy do końca, jak naprawdę powinny takie studia wyglądać. Myślę, że nie od rzeczy byłoby przyrzeć się jeszcze raz staremu, tużowojennemu krakowskiemu ich modelowi, o którym nie zawsze się już nawet pamięta.

Zaczynałem na Wydziale Dziennikarskim krakowskiej WSNS. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby ktoś z różnych dziedzin nauki — po trochu nasypał do worka, a potem potrząsnął, żeby dokładnie wymieszać. No, bo na tych studiach mieliśmy trochę polonistyki (w niezłym zresztą wydaniu, m. in. przez niedługi okres wykładał także prof. Kleiner), trochę ekonomii, filozofii, socjologii, jakiegoś bardzo „amatorskiego” należał przyznać — wykłady z prasoznawstwa... I trzeba jeszcze dodać, że program nauczania był bardzo niespójny w sensie ideologicznym; spora grupa przedwojennych wykładowców i „raczkujący” dopiero młodzi marksściści... Na przykład prowadził wykłady prof. Adam Krzyżanowski, którego głównym dziełem życia była „Chrześcijańska myśl polityczna”, a obok niego — jego bratanek, młody „napalony” marksista, który cały swój wykład poświęcał krytykowaniu tego, co poprzedniego dnia wygłosił jego stryj.

— A który z wykładowców zapadł najbardziej w pańską pamięć?

— Grzegorz Leopold Seidler; wówczas jeszcze „zwykły” doktor... Prowadził z nami takie dość „dziwne”, nie do końca sformułowane zajęcia, określone ogólnie mianem: „wstęp do nauk politycznych”. Otóż dr Seidler, postać już wówczas barwna i niecodzienna, poza tym, że dzięki swojej wyjątkowej erudycji stworzył nam odczyty na wielość systemów politycznych (wykładał z pozycji marksistowskich, ale nie tych „ciasnych”, jakie się w owych czasach już zaczęły rysować), nauczył nas jeszcze jednej bardzo ważnej, także dla dziennikarza, rzeczy: co należy robić, aby nie zanudzić odbiorcy. Na przykład kiedyś prowadził wykład i nagle powiedział: „Proszę państwa, ja już tutaj mówię ze dwadzieścia minut na poważne tematy i zupełnie zapomniałem, że czas najwyższy, żeby zrobić humorystyczny przezywnik, rzucić jakiś dowcip rozładujący napięcie intelektualne...”. „A jak żaden dowcip nie przychodzi do głowy?” — pyta ktoś „dociekliwie” z audytorium. „Jak nie nie przychodzi do głowy, to trzeba chociaż powiedzieć: „dupa”! — odparowuje dr Seidler.

— I jaka z tego wszystkiego, co pan mówił o krakowskich studiach dziennikarskich, wynika konkluzja?

— Taka, że uważam tamten model studiów za znakomite „pobudzenie intelektualne”. I to jest moim zdaniem, najważniejsze dla przyszłego dziennikarza. A nie, jak to się nieraz widzi, wyczerpujące uczenie młodych ludzi — jak pisać np. felleton, czy — jak pisać reportaż. Owego „praktycznego” dziennikarstwa uczyłem się w gazecie. Wynikało to zresztą ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, iż moje młodzieńcze nasze społeczne zesz-

ły się z zawodowymi. W szkole średniej bardzo zaangażowałem się w harcerstwo (byłem komendantem hufca w Stalowej Woli), natomiast na studiach od początku — w pracę Związku Akademickiego Młodzieży Polskiej. I właśnie grupa krakowskich aktywistów ZAMP-u postanowiła wydawać własny dodatek przy którejś z krakowskich gazet. Przyjął nas na „swoje łamy” redaktor naczelny „Gazety Krakowskiej”, organu KW PZPR, Arnold Mostowicz, zgadzając się chętnie, abyśmy — początkowo raz na dwa tygodnie, a potem co tydzień — sami przygotowywali kolumnę „Głos Akademika”. Zaczął „Głos” ukazywać się w 1949 roku; w skład zespołu redakcyjnego wchodził student, reprezentujący wszystkie krakowskie uczelnie. Z Uniwersytetu Jagiellońskiego przyszedł do nas mój dawny kolega oraz harcerski druh (były komendant hufca w Łańcutcie) student historii, Zygmunt Mańkowski, obecnie — znany historyk, profesor na UMCS, i prorektor-elekt tej uczelni. Przypominam sobie, że w tamtych dawnych, krakowskich czasach, spieraliśmy się z nim gorąco; jaki ma być model naukowca, a jaki dziennikarza.

— I do jakich wniosków, panowie wtedy doszliście?

— Zygmuntovi udało się znakomite powieścić. Otóż stwierdził, on że jeżeli jest dwóch przyjaciół i jeden z nich zostanie dziennikarzem, zaś drugi — naukowcem, a obaj będą intensywnie nad sobą pracować, to w końcu dojdzie do tego, że... jeden (naukowiec) będzie wiedział „wszystko o niczym” (taka to będzie jego wąska specjalizacja), a drugi (dziennikarz) — „nic o wszystkim”! Ale dzisiaj myślę, że aż tak źle nie jest.

— Mówił pan o praktycznej nauce zawodu w gazecie, ale rozumiem, że nie był to tylko „Głos Akademika”?

— „Głos Akademika” żył dwa lata; a potem, jeszcze na studiach, zacząłem „normalnie” pracować w „Gazecie Krakowskiej”. W ten sposób nastąpiło połączenie „teorii” z „praktyką”. Taka sytuacja wynikała zresztą z faktu, że wówczas właśnie, po wchłonięciu Wydziału Dziennikarskiego przez Uniwersytet Jagielloński, na czele naszego wydziału stanął szef „Gazety Krakowskiej”, red. Arnold Mostowicz, i on to właśnie sprowadził kilku jeszcze innych dziennikarzy — wykładowców, dla których była spr-

O historii i prawdzie historycznej, oraz o roli nauk historycznych w przebudowie roznawali na łamach „Litteraturnej Gazety” (nr 31) wysłany historyk, członek-korespondent Akademii Nauk ZSRR, J. Polakow, i dziennikarz tygodnika, J. Janowski. Poniżej omówienie i obszernie fragmenty rozmowy.

Na wstępie rozmowy J. Polakow przyznał, że jednocześnie ze wzrostem zainteresowania historią prestiż nauk historycznych w ostatnich latach zmniejszał się. Spadło zaufanie społeczeństwa do słowa historyka. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest, jego zdaniem, niewystarczająco wysoki poziom wielu badań historycznych, niewystarczająco głęboka ich analiza.

— A czy w nauce nie nastąpiło też coś, co można by nazwać koniunkturalnym przedstawianiem wydarzeń historycznych? — zapytał J. Janowski.

J. Polakow odpowiedział: — Koniunkturalizm, zgadzam się, wyrządził niemałe szkody nauce. Przez długi czas ukierunkowywał on badaczy na to, by bezgranicznie uwypuklali te czy inne wydarzenia historyczne, wyolbrzymiali rolę jednych działaczy lub przeciwnie — pomniejszali ją na korzyść innych.

Tego rodzaju wypaczenia nabrały ogromnego rozmachu pod wpływem kultu jednostki Stalina. Już w 1929 r. pojawiły się prace, w których wyolbrzymiano jego rolę w Rewolucji Październikowej, w wojnie domowej. Przez ćwierć wieku lawina tych wypaczeń narastała. W tym czasie niemożliwe wydawało się napisanie pracy z historii społeczeństwa radzieckiego bez pokazania wyolbrzymionej roli „wodza i nauczyciela”, bez jego bezgranicznego wychwalania. Przerabianie historii na chwałę Stalina dochodziło do absurdu, jednak tego tak jakbyśmy nie dostrzegali. Przywykliśmy do tego, by nie dostrzegać.

Wówczas to zasadą stało się naruszanie zasad historycznego Ludzi występujących w latach 20-tych przeciwko „generalnej linii partii” zwykło się

oskarżać o działalność wyrotową w stosunku do historii rewolucji 1905 — 1907, Października czy wojny domowej. Ich nazwiska albo się w ogóle nie wspominało, lub z dobitnym — „wróg ludu”. W książkach z tego okresu nie można spotkać elementarnego stwierdzenia: „Przewodniczący Rady Moskiewskiej L. B. Kamieniew zrobił to i to...”. Tego rodzaju nazwiska mogło jedynie pojawić się w takim standardowym kontekście: „Doetawszy się na

nie w negatywnym świetle. Jednocześnie (na wszelki wypadek) nie wspomniano także tych działaczy, o których losie nie posiadano dostatecznych informacji. Myślę, że już wówczas podważone zostało zaufanie i szacunek do historii.

XX Zjazd — powiedział dalej J. Polakow — wiele zmienił na lepsze. Znaczna część działaczy partyjnych, państwowych i wojskowych została przywrócona do historii. Jednakże wkrótce

wydarzenia minionej wojny przedstawiano jako wydarzenia główne, węzłowe. O decydującym znaczeniu działalności Breżniewa na Małej Ziemi stworzono monografię, pisano artykuły naukowe i popularnonaukowe, działalność tę ubarwiano zarówno w zbiorkach, jak i solidnych wielotomowych pracach.

Potem zaczęły pojawiać się wyraźne wyolbrzymione oceny roli Czernienki w Wojnie Narodowej. Wystarczy

# Oczyścić historię z wypaczeń i niedomówień

stanowisko przewodniczącego Rady Moskiewskiej, wróg ludu Kamieniew wszelkimi sposobami utrudniał...”

W większości zbiorczych („uogólniających”) książek i podręczników historii czytelnik nie znajdzie nazwisk nawet wszystkich przewodniczących Rady Komisarzy Ludowych i Rady Ministrów ZSRR. A stanowisko to w ciągu 70 lat władzy radzieckiej zajmowało zaledwie 10 ludzi.

Poddani represjom za czasów Stalina działacze partyjni i państwowi, jeśli już nawet byli wspomniani, to wyłącz-

zażęło się nowe wypaczenie prawdy historycznej. W pracach poświęconych latom 60-tych i 70-tych zaczęło się pojawiać coraz więcej motywów odświętnych, a historia tych lat stopniowo przekształcała się w „Przewodnik” po wystawie osiągnięć gospodarki narodowej. Uproszczone jednostronne rozumienie koncepcji socjalizmu prowadziło do tuszowania negatywnych zjawisk, ciemnych stron trudności, sprzeczności. Wypaczenia dotknęły także i innych okresów historycznych. Wszyscy pamiętają, jak w latach 70-tych stosunkowo niewielkie, jeśli chodzi o skalę,

spójrzeć np. na hasło poświęcone mu w pierwszym wydaniu encyklopedii „Wielka Wojna Narodowa”.

Dlaczego tak się działo? Nie będziemy idealizować autorów — wielu chętnie i z radością, z niemałą inicjatywą wykazywało koniunkturalną zrzeczność. Jednak do zrzeczności tej zachęcała sytuacja, która, tak to określono na styczniowym plenum KC KPZR, powstała na froncie teoretycznym w ogólnie, z teorii i nauk społecznych zniknęły żywa dyskusja i twórcza myśl, a autorytatywne oceny i sady stały się

wą oczywista, że przyszły adept dziennikarstwa... mieć autentyczną codzienną łączność z gazetą już od samego początku nauki. Tak więc „do zawodu” wszedłem przed ukończeniem studiów i do dzisiaj uważam, że była to rzecz właściwa.

Inna sprawa że w owych powojennych czasach nie było w redakcjach zbyt wielu naprawdę przygotowanych do zawodu dziennikarzy. Nawet w takim mieście, jak Kraków, przedwojenni dziennikarze byli w redakcjach rzadkością. Ow „glód kadr” niesłychanie nas, młodych, mobilizował. Z drugiej jednak strony — stwarzało to i sytuację trudną, godzącą nieraz w osobiste ambicje i plany życiowe...

— Nie bardzo rozumiem...

— Ja, na przykład, przygotowywałem się do pracy dziennikarza zagranicznego, korespondenta. Właśnie zagraniczną tematyką interesowałem się szczególnie; pod tym kątem „ukierunkowywałem” swoje studia... A tymczasem oświadczone mi kategorycznie, że mam iść do Koszalin, gdzie powstała nowa gazeta, „Głos Koszaliński” organ KW PZPR, w warunkach absolutnego „dziennikarskiego pustkowi”. Nie ma ludzi, nie ma doświadczeń, wszystko trzeba organizować od podstaw. No i właśnie w „Głosie Koszalińskim” przeszedłem prawie wszystkie stopnie dziennikarskiego wtajemniczenia: kierowałem szeregiem działów redakcyjnych, zostałem zastępcą sekretarza redakcji, następnie — sekretarzem... A kiedy przyszedł Październik 1956 r. zaproponowano w zespole, żebym objął funkcję zastępcy redaktora naczelnego. Ale ja przypominałem sobie, że właśnie minęło pięć lat mego pobytu w Koszalinie, a tyle właśnie miałem w terenie odpracować. Pojechałem do Warszawy, do „centrali”, i przyznałem, że obiecany mi skierowania — po odbyciu „pakazu pracy” — na stanowisko związane z dyplomacją międzynarodową.

— I z miejsca pana „ochłodzono”?

— Nie powiedziano „nie”, natomiast kazano poczekać kilka dni; a potem oświadczone, że na razie sprawa nie może być aktualna (był to czas zamętu, przełom lat 1956/1957), natomiast dobrze by było, żebym na jakiś krótki czas: jeden lub dwa miesiące, pojechał do Lublina i tam pomógł w uruchomieniu nowego pisma.

— I to był „Kurier Lubelski”?

— Tak. Powstająca popołudniówka, której, jak się wkrótce okazało, RSW „Prasa” wcale nie chce wydawać.

— Dlaczego?

— Wytworzyła się wówczas taka sytuacja, że z Wydziału Prasy KC przyszedli do „centrali” RSW ludzie o zachowawczych przekonaniach i właśnie oni byli „przeciw”. Przeciwności w prasie bezpartyjnej, przeciw „popołudniówkom”, itp., itp... Początkowo więc „Kurier” ukazywał się jako „organ” Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej.

— Trafiał pan w sytuację zupełnej „prowizorki”?

— Ale, ponieważ w Polsce najtrwalsze są właśnie wszelkie „prowizorki” (stąd — ów gorzki dowcip: „Co jest u nas najtrwalsze? — Przejściowe trudności”), pozostałem w „Kurierze Lubelskim” dwadzieścia pięć lat jako redaktor naczelny, a trzydzieści, jak dotąd w Lublinie, do którego przyjechałem „najwyżej” na dwa miesiące...

— Dobre czy źle jest tak długo zasiadzieć na jednym miejscu, na tym samym stanowisku?

— Na podstawie swoich obserwacji i doświadczeń, uważam, że w pracy dziennikarskiej w ogóle, a już szczególnie — na stanowiskach funkcyjnych, potrzebny jest, jak ja to określam, „myślowy płodozmian”.

— To znaczy?

— To znaczy, że z jednej strony nie wzorowałbym się tutaj na modelu jugosłowiańskim, gdzie nie tylko wśród władz politycznych, czy administracyjnych, ale i w dziennikarstwie, obowiązuje określona rotacja, bo wówczas nie ma dostatecznego okresu na wciągnięcie się w nurt życia społeczności, zapoznanie się z jej problemami „wrośnięcie” w środowisko, przejęcie się jego sprawami.

— Ale równocześnie — zbyt długi funkcjonowanie na jednym i tym samym miejscu, grozi (nawet: wykluczając wchodzenie w jakieś tam „koterie”, wrastanie w jakieś tam „kliki”, itp.) — ztracaniem ostrości widzenia pewnych problemów?

— Zgoda. I to właśnie ta druga strona zagadnienia, o którym zacząłem mówić... O ile, na przykład, nauczyciel może przez całe życie uczyć w jednej szkole; przewina się przez jego ręce całe pokolenia uczniów i wyjdzie to obu stronom tylko na dobre; to dziennikarz przyzwyczajał się, z biegiem lat, do pewnych deformacji, do różnych niewłaściwości w danym śro-

dowisku i to będzie miało określone odbicie w jego działalności... Toteż myślę, że dziennikarz co jakiś czas powinien zmienić „punkt widzenia”. Albo inaczej: „punkt siedzenia”.

— Może wróćmy jeszcze do „Kuriera Lubelskiego” i do jego początków, a ściślej: do pańskich koncepcji związanych z powstającym, w połowie lat pięćdziesiątych, nowym piśmem...

— Warto może najpierw przypomnieć, że w tamtym okresie, inaczej niż w wielu innych miastach wojewódzkich, w Lublinie wychodził tylko jeden dziennik — gazeta partyjna. Moją ambicją było stworzenie takiego modelu pisma, które dla rozwijającego się Lublina, wówczas już miasta kilku wyższych uczelni, o określonym środowisku intelektualnym — byłoby akceptowane nie tylko przez tych najmniej wyrobionych odbiorców, owych „typowych” czytelników, gazety popołudniowej.

— Myślę, że w dużej mierze, to się panu udało.

— Natomiast dzisiaj, spoglądając już zresztą na „Kurier” z innego miejsca...

— Z pozycji komentatora w „Sztandarze Ludu”...?

— Nie. Po prostu: z dzisiejszej perspektywy... Otóż zastanawiam się, czy obecnie jeszcze taki model byłby ciągle aktualny? Bo przecież, co takiego zaszło w naszym mieście, w naszym środowisku, w ciągu ostatnich dziesięcioleci? Wszak, na przykład, „Kamena”, która trzydzieści lat temu była organem lubelskiego oddziału ZLP, jest już od dawna piśmem społeczno-kulturalnym, wydawanym przez RSW „Prasa”, w obrębie tego samego, co „Kurier Lubelski”, Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego... Jak szalenie — w sensie rozszerzenia problematyki — zmienił się „Sztandar Ludu”!... Mamy skromną, ale własną telewizyjną „Panoramę Lubelską”... Tego wszystkiego nie było, kiedy my z „Kurierem” startowaliśmy i kiedy ja starałem się zrealizować taki, a nie inny model nowej popołudniówki. Dorosło zupełnie nowe pokolenie — zarówno: czytelników „Kuriera”, jak i — dziennikarzy w „Kurierze” zatrudnionych. Dla nich np. różnorodność środków masowego przekazu jest już oczywistością! Co nie znaczy, że gotów jestem bezkrytycznie akceptować wszystko to, co się dzisiaj w „Kurierze Lubelskim” robi. Ale to że on powinien być inny niż dawniej jest zupełnie oczywiste.



Fot. Eliza Kwaśniewska

— Podkreślał pan w naszej rozmowie „bezpartyjność” redagowanej przez siebie gazety. Jak zatem tłumaczyć, że wieloletni redaktor dziennika bezpartyjnego, był zawsze, i jest nadal, tak mocno „politycznie zaangażowany”?

— Chyba każdy zawód jest „polityczny” — czy się tego chce, czy nie chce. A już szczególnie zawód dziennikarza. Ja się z takim przekonaniem nigdy nie kryłem; wszak w okresie kierowania „Kurierem” byłem członkiem miejskiej, a potem — wojewódzkiej instancji partyjnej, lektorem KW i KC PZPR, bo nie widzę w tym zresztą żadnej sprzeczności. Staralem się nie być w swoich poglądach sekularski, jako warunek podstawowy wyznawalem otwartości; a jednocześnie — akceptowałem zasadę kierowania roli partii w stosunku do wszystkich środków masowego przekazu.

— A jaka jest pańska recepta na pracę dziennikarza — w dniu dzisiejszym?

— Najkrócej rzecz ujmując, taka — że musi on te wszystkie wielkie sprawy, które są treścią życia naszego narodu omawiać, komentować, popularyzować. Ale czyniąc to, musi on umieć pisać w sposób dostępny dla każdego czytelnika.

Rozmawiał:  
Miroslaw Derecki

niepodważalnymi prawdami, które można było jedynie komentować”.

J. Polakow stwierdza dalej, że koniunkturalne względy bardzo przeszkadzały historykom, i właśnie dlatego często unikali oni obiektywnej oceny i naukowej analizy wydarzeń okresu poręwolucyjnego.

— Obecnie sytuacja zmienia się — powiedział dalej J. Janowski. — Jak pan ocenia przebieg przebudowy w naukach historycznych? Czy nastąpił tu zwrot?

W odpowiedzi J. Polakow podkreślił, że na powstanie nowych prac naukowych z nowymi materiałami i nowymi wnioskami potrzeba czasu. Zmienia się nastrój psychiczny naukowców, z mniejszym namaszczeniem odnoszą się oni do rangi, są bardziej krytyczni, ich dyskusje są bardziej pryncypialne, twórcze. Historycy częściej i w sposób bardziej interesujący występują na łamach prasy.

Większość naukowców, jak sądzi — powiedział dalej J. Polakow — jest jednomyślna co do tego, że historia trzeba „zaluźnić”, są gotowi zdjąć czapki niewidki z faktów z przeszłości. Jedynie najbardziej zagorzali wstępczy są temu przeciwni. Wystarczająco silni są jeszcze dogmatycy, którzy jak dawniej swoje podstawowe zadania widzą w powtarzaniu i powierczonym komentowaniu dokumentów partyjnych. Z drugiej jednak strony coraz aktywniej występują krytycy, poddający w wątpliwość niemal każde osiągnięcie władzy radzieckiej. Nie wątpię, że przy otwartym wyrażaniu własnych poglądów, czego dawniej faktycznie nie było, polaryzacja tych poglądów będzie się pogłębiała. Najważniejsze dyskusje przed nami.

W dalszej części rozmowy J. Janowski stwierdził, że różne problemy historii współczesnej, tzw. „białe plamy”, które przez długie lata nie były wypelniane przez historyków, a interesowały społeczeństwo w ostatnich latach zaczęły pojawiać się w beletryście historycznej. Można przytoczyć dziesiątki powieści, nowel i opowiadań poświęconych sprawom nie poruszonym lub bardzo słabo opisanym przez historyków. Istnieją też utwory ściśle wy-

paczające fakty historyczne, a mimo to są ciągle wydawane. Nikt temu nie zapobiega, a przecież historycy powinni oni zlikwidować „białe plamy” w historii ludzkości, a szczególnie w historii narodu radzieckiego.

Wypowiadając się na ten temat J. Polakow powiedział m.in., iż pojawienie się wielu „rzemieślniczych” wyrobów literackich na tematy historyczne można w dużym stopniu tłumaczyć słabością nauk historycznych. Czasami utwory te należą do najbardziej czytanych, przyciągając pozorną lekkością „pikantnością” tematów, kolorystyką historycznym, a przede wszystkim bohaterami i faktami, o których milczą historycy. Wywołując, jakbym to nazwał, niezdrowe zainteresowanie. Wyrządzają one szkodę wychowaniu przez historię, wyrządzają szkodę ze względu na swą ignorancję, liczne błędy faktograficzne, prymitywizm, trywializowanie przeszłości. Historyk nie jest konkurentem pisarza, lecz jego kolega i pomocnikiem.

W zakończeniu rozmowy J. Polakow podkreślił, że obecnie najważniejszym zadaniem jest podwyższenie poziomu prac naukowych po to, by przekonywały one ludzi, potwierdzały prawdę faktami, logiką argumentacji. W naszych pracach procesy historyczne nie powinny być „korygowane”, nie powinny być naginane do schematu, ale ukazane w całej swej złożoności i sprzeczności. I już z całą pewnością należy całkowicie zlikwidować zakazane strefy, zakazane tematy, „białe plamy”. Historia powinna zostać całkowicie oczyszczona z wypaczeń i niedomówień. Nie można zapominać, że prawda historyczna to nieodłączny składnik zdrowia psychicznego społeczeństwa. Jeśli nie wykorzystamy imitacji prawdy, nie odrzucimy obojętności, to nasza żywa, błyskotliwa nauka stanie się chłodnym tramwajem krającym po wyślizganych szynach. Historia, to nie polityka skierowana w przeszłość, to nauka o przeszłości, pomagająca w wypracowywaniu i realizacji polityki partii.

## Kajet literacki

### O szczerości

P EWIEN znajomy pisarz opowiadał mi, że jego matce nie podoba się ani przesadna szczerość jego książek, ani też brak szczerości. Jak tylko ukazało się coś nowego, przez wiele dni kobiecina wstydziła się tego i za syna, i za siebie. Uważała, że synalek abytnie się odsłonił albo też zanadto schował za pustymi słowami. Tak czy siak matka, jak zawsze, ma rację i przez wiele dni przemyka bocznymi ulicami.

Przeciętni ludzie uważają, że rzeczywistość łączy się z pojęciem prawdy, którą pisarze rozmyślnie czy bezmyślnie fałszują.

— Pan jesteście pisarzem? — pytają. — E, to pan wszystko przekreśla. Takie opinie bulwersowały mnie, gdy byłem pisarzem młodym i ambitym. O wiele bardziej wolalem być natchnionym Katonem niż kombinującym coś tam na boczku kłamczuchem. Co mogłem im odpowiedzieć? Dać słowo honoru?

Czytelnicy w książkach szukają nie tylko piękna, ale także szczerości, tymczasem każdy piszący jest trochę przynajmniej kłamczuchem. Czasami ktoś dając do szczerości dochodzi do historii. Stary Lew Tolstoj pisał tak: „Trzeba wprowadzić zwyczaj, by było hańbą drukowanie własnych utworów za życia — jedynie należy drukować po śmierci. Niezależnie od tego, jaka czysta popłynęłaby woda”. Srodek zaiste radykalny, typowe lekarstwo, które wykańcza chorego. Podobnie zresztą Tolstoj mówi o malarzach. Oto jego uwagi po zwiedzeniu „Galerii Tretjakowskiej”: „Na co to? Niechaj człowiek szczerzy przejdzie się po tych salach, a powie z pewnością, że tkwi w tym jakiś oczywisty błąd i że wcale nie o to chodzi i nie to jest potrzebne”. Stary Tolstoj był moralistą, wszyscy ludzie tak nastawieni do życia reagują podobnie, co nie znaczy przecież, że sztuka jest z gruntu niemoralna.

Niektórzy nie tylko młodzi ludzie identyfikują szczerość z prowokacją, wyzaniem, zdemaskowaniem, a przecież wiadomo, że najwygodniej prowokować słabych i bezradnych. Ktoś się przewrócił — cóż może być śmieszniejszego? Idzie garbus — zabawne. A kiedyś może się trafić garbus z białą łaską, bez jednej nogi, który przewraca się na ruchliwym skrzyżowaniu w centrum. W domu wariatów też ludzkie ulomności wprost same się demaskują.

Zresztą gdzie są granice szczerości w takim choćby zbanalizowanym seksie? Jeden się zaczerwieni jak burak, a drugi zaśnie jak hermafrodyta w trakcie słuchania pieprzonego kawału. Szczerość w miłości jest bardzo staromodna i polega na wzajemnym zrozumieniu się dwójga ludzi.

A więc powtórzmy pytanie: czy szczerość jest równoznaczna z mówieniem tak zwanej gorzkiej prawdy prosto w oczy? W takim razie co to jest chamstwo? No i mamy nieoczekiwanie nowe pojęcie estetyczne. Jednym zatem z tym koleśm dalej.

O dobrym człowieku mówi się, że to szczerzy facet. Taka powinna być szczerość pisarza: oparta na dobroci. Tak też postulował Tolstoj: „Dobro jest oznaką prawdziwej sztuki. Cechy sztuki w ogóle to nowość, jasność i szczerość. Cechą prawdziwej sztuki jest nowe, jasne i szczerze dobro”.

Jan H. Cichosz

## PROGNOZA POGODY

W dzienniku telewizyjnym  
zapowiadają pogodę na jutro  
Ojciec nie wierzy  
patrzy na ptaki i księżyc  
otwiera księgi przodków

przed snem mówi:  
nie powiedzieli nawet  
że umarł stary Szkuć  
ostatni we wsi syn  
Chłopa pańszczyźnianego

\*

\*

\*

moim współczesnym

tak często gramy  
zaczynając kartami  
by wygrać co nasze  
by człowieka przegrać  
za mały grosik  
sprzedajemy ostatnią  
kostkę sumienia  
e w przy stolech modlitwy  
wzburamy Judasza  
płoni

W katedrach zamkniętych  
budujemy kościoły  
sprawdzając na wszelki wypadek  
uczciwość kluczy

Józef Krupiński

## LATAJĄCY DYWAN

W ostatnie dni babiego lata  
nie chciałem ryc  
na kłęczkach garbu.

W ostatnie dni babiego lata  
kolysałem wiewiel  
w ciągu  
wszystkich podziń  
aż kolysany  
przybrał postać  
latającego dywanu  
aż unosił z czerni  
do wiatraka dzieła.

## KOLOROWE JARMARKI

W dni  
kolorowych jarmarków  
wyruszałem prawie sam  
bez przybojowej świty  
pod ziemią.

Brałem z sobą  
tylko wiernego druha  
kropulca  
który na pierś  
spod obcisłej tuniki  
obserwował  
suft węgla  
daleko  
w kolorowych jarmarkach.

## JAK ZŁOTO OJCÓW

Dosiadłszy konia  
pojechałem nawiedzić  
wynoszących wodę  
z pierwszego osadnika  
do drugiego.

Przy drugim osadniku  
spotkałem wynoszących  
te same wody  
do osadnika pierwszego.

Ludzie  
mijali się milcząco  
tracząc swymi wodami.

Jedynie wiewiel  
usiłował otworzyć  
swoje stare usta  
mowa  
jak złoto naszych ojców.

**M**IEDZYKARODOWY Festiwal Piosenki jest imprezą, na którą wydaje się duże pieniądze. I podejrzewam, że to główna przyczyna zakulisowych rozgrywek, jakie rokrocznie obserwujemy w Sopocie. Dyrektor artystyczny festiwalu, Wojciech Trzcinański, przyznał, że imprezę przygotowano praktycznie w dwa miesiące, a w Komitecie organizacyjnym pracowało około 30 osób. Rzecz, choć trudna, okazała się wykonalną, lecz skutki chwilami oplakane. Największą sensacją finansową festiwalu były dewizowe nagrody. Ufundowała je tajemnicza firma STM, ze Szwecji rodem, a w całą historię zamieszany był Stanisław Dudzik, Polak z pochodzenia. Jemu to zawdzięczamy obecność w Sopocie w poprzednich latach, takich zespołów jak: Baden-Baden, Monroes i Herrey's. Otóż obecnie pan Dudzik został pracownikiem tejże firmy, której pełną nazwę mogą wreszcie zdradzić czytelnikom Swedish Trading and Marketing. O firmie dowiedzieliśmy się więcej dzięki konferencji prasowej zorganizowanej, jak zwykle z gestem, lecz przy udziale tylko połowy dziennikarzy i to „gorszej”, bo ta druga, „lepsza”, bankietowała na wodolocie. Wodolot pomknął w morze w tym samym mniej więcej czasie, w którym za stołem w kawiarni hotelu „Marina” zasiadli przedstawiciele firmy STM: dyrektor naczelny Thomas Hagström, dyrektor działu marketingu Mats Ericsson oraz znany nam już pan Dudzik. Nagrody w postaci tysięcy dolarowych czeków wręczono więc zwycięzcom w kameralnym gronie.

być znakiem festiwalu. Powtarzała się na wszystkich innych materiałach. Obok podano wysokość nagród — 31 tysięcy dolarów. W środku, na rozkładówce, ten sam motyw z tęczą, krótka historia festiwalu, termin obecny, program i nagrody, a obok przygotowane do wypełnienia i odcięcia zgłoszenie uczestnictwa. Na odwrocie adres, pod jaki należy wysłać zgłoszenie. Wszystko, oczywiście, w języku angielskim. Wydano na tę reklamę kilkanaście tysięcy dolarów i następnie utopiono w Wiśle tłumacząc zajęcie... błędnie umieszczonym adresem głównego organizatora. Okazał się nim zresztą BART w Sopocie, a nie Teatr Muzyczny w Gdyni, co podkreślono w nowym folderze. Na nowe okładki wydano nowe miliony, choć wystarczyło błędnie sprostować, co przy obecnej technice zachodniej nie byłoby dla Szwedów problemem. Poza tym, kiedy wszystko już było zaپیęte na ostatni guzik, ktoś „zyczliwy” postarał się o negatywną opinię o firmie STM, co wstrzymało jej działania na półtora miesiąca, dopóki nie odkręcono sprawy uzyskując nową pozytywną opinię, drogą oficjalną, ze Szwecji. No i wreszcie sprawa reklamy. Komitet Organizacyjny Festiwalu ustalił, że w scenografii nie znajdują się nazwy żadnych firm zagranicznych, co STM zaakceptowała. Tymczasem jakże było jej zdziwienie, gdy na pierwszym planie rzucił się w oczy napis Otake, bo podobno Otake zawarła umowę z telewizją. Jak więc widać, komitet działał sobie, a obok niego każdy z organizatorów na własną rękę. Takich i innych kwiatków znalazłoby się jeszcze sporo.

teryjnej przypadkowości. Myśli się o zmianie zasad głosowania, przynajmniej o odizolowaniu od siebie poszczególnych ośrodków.

A teraz — gwoli wyjaśnienia obecności zespołu Italian Sound na festiwalu i wykluczenia go z konkursu... Zespół wydał cztery płyty, które zostały pozytywnie ocenione przez Wojciecha Trzcinańskiego. Nie ma podstaw, by mu nie wierzyć. A że zespół na żywo okazał się taki zły, to pech! Osobliwie prywatną nagrodę dziennikarza przyznałabym innemu Włochowi, Francesco Napoli, który był w całej plejadzie gwiazdek zupełnie osamotniony. Był może jego sposób śpiewania wydawał się staroświecki lub nie przyzwyczajeni jesteśmy do włoskiego, wskutek ciągłego wysłuchiwanie list przebojów z angielskiego obszaru językowego. Czy nikt jednak nie zwrócił uwagi na znakomite przygotowanie warsztatowe piosenkarza i jego głos, którego na dodatek potrafił używać?

Za największą atrakcją artystyczną festiwalu uznano powszechnie Jose Feliciano. Sprowadzenie go do Polski kosztowało organizatorów 11 mln złotych, ale nikt tego nie żałuje. Trudno określić, czy Feliciano jest wielkim gitarzystą, czy wielkim piosenkarzem. Operuje przecież doskonale obydwoma instrumentami: głosem i gitarą, o czym mieliśmy okazję przekonać się podczas jego recitalu. Przedtem w hotelu „Posejdon” odbyła się konferencja prasowa z muzykiem. Przyszli podtrzymywani przez swoją żonę Susan, związaną, jak się okazało z Polską poprzez rodzinę

# Sopockie DO-LA-ROwanie

Irena Filip

Oczyszczono też powietrze z krzącących wokół plotek. Jedną z nich głosiła, że firma STM po to wwoziła te dolary do Polski, żeby je wywieźć z powrotem do Szwecji. Wszyscy stawali więc na Grand Prix dla zespołu Style. Kiedy prorocтва zawiodły, usiłowano przekonać nas wszystkich, drogą jak najbardziej oficjalną, o tym, iż trójka sympatycznych Szwedów odjedzie mini-Porschem skonstruowanym przez Sobiesława Zasadę, a ufundowanym przez STM, jako nagroda specjalna. Tymczasem firma spletała wszystkim spiskusa i, co więcej, bardzo była zadowolona z werdyktu jurorów, z którego wszyscy byli niezadowoleni. Na dodatek wspomnianą nagrodę specjalną przyznała zespołowi Hart Rouge z Kanady, wyróżniającemu się poziomem artystycznym, uzasadniając swój wybór tymi oto słowami: „za świeże, atrakcyjne i świetnie wykonane”.

Myślę, że nawet temu, kto nie zna dobrze angielskiego, słowo marketing kojarzy się z rynkiem. I słusznie, bo STM jest firmą o różnorodnej działalności. Młody, lecz o dużym doświadczeniu kierowniczym człowiek stworzył ją między innymi po to, by dotować kulturę. Bowiem, jak świat światem, do kultury zawsze się dopłacało. czego niektórzy ciągle nie mogą zrozumieć wymyślając bajeczki o samofinansowaniu się kulturalnych instytucji. STM skupia ludzi w promotion center. Jeden z działów prowadzi typową działalność biura reklamowego. Drugą gałęzią jest sponsorowanie oparte na kilku prywatnych klientach, sportowcach i artystach, którym przygotowuje się promocję i marketing. Kolejny dział, typowo handlowy, znalazł ciekawych producentów mogących konkurować z dostawcami z Hongkongu, w Polsce (sic!) i w ZSRR. W Szwecji np. bardzo dobrze sprzedają się polskie butelki, samochodziki i podgrzewacze do butelek. STM zatrudnia tylko, nomen omen! 30 osób. Inicjatywa wspomnienia ciągle stojącego pod znakiem zapytania festiwalu zrodziła się zaraz po ubiegłorocznym. Zwrócono się z nią do ZPR, jako że komitet organizacyjny festiwalu nie mógł się ukonstytuować aż do wiosny tego roku. Natomiast STM już we wrześniu przedstawiła szczegółowy plan organizacyjny. Szata graficzna materiałów informacyjnych została zatwierdzona pod koniec listopada. Materiały wydrukowano na targi MIDEM, gdzie wzbudziły dużą sensację. Miałam je w ręku: na okładce, pod napisem Sopot 87, widniała grafika z tęczą. Ta kolorowa tęcza miała

Podejrzewam, że każda inna firma obrzuciłaby się pewnie na Sopot, tym bardziej, że podpisała już umowę z ZSRR, który zapewne okaże się poważniejszym partnerem. Prawdopodobnie jednak w grę wchodzi sentymenty pana Dudzika oraz pana Ericssona, mimo szwedzkiego nazwiska wywodzącego się od polskich przodków. Plany firmy są konkretne, zakrojone na pięć lat, zawarte w jedenastu punktach. Nagrody ustalono na najwyższym poziomie światowym. Podkreślono, iż wykońca, który chce dobrze przygotować się do występu na festiwalu, musi w to włożyć co najmniej dwa tysiące dolarów. Czy taki człowiek będzie się ubiegał o nagrodę w złotychkach? Nie oszukujmy się. Sam udział w festiwalu w Sopocie nie jest żadną nobilitacją artysty. Choć może mógłby być. Stoi więc przed imprezą wielka szansa na wyjście z zaścianka i przestanie się słyszeć negatywne opinie o poziomie festiwalu, które wygłaszają wszyscy, począwszy od autoritetów, a skończywszy na tych, którym słon nadeptał na ucho, ale którzy krytykanctwo mają we krwi. Wielką naszą wadą jest wygłaszanie sądów charakteryzujących się brakiem rzeczowych argumentów. W Sopocie od czuwało się to wszędzie: w kulturalnych dyskusjach, na konferencjach prasowych, w publikacjach, ba, nawet w werdykcie jury. Stąd też nie wyjaśniono do końca kontrowersyjne opinie stały się źródłem plotek, a one z kolei wpłynęły na powszechne zdenerwowanie. Teraz już spokojnie można niektóre rzeczy wyjaśnić.

Otóż rzeczywiście dość ciężko było zdecydować o Grand Prix. W tym roku nie ujawniła się taka osobowość artystyczna, jak Mara Getz, co do której nikt nie zgłaszał pretensji. Najwyższa ocena zespołu Double Take wyniknęła zapewne z tego, że bliźniacy Roberts, Anglii reprezentujący zachodniemiecką wytwórnę, zaśpiewali swoje melodyjne piosenki w nowoczesny sposób i mają dobre rokowania na przyszłość. Odniosłam wrażenie, że ponieważ wykorzystałem zabrakło „duży”, trzeba było przyjąć inne kryterium oceny: postawiono na ocenę utworu, co najbardziej chyba było widoczne w przypadku Joanny Zagdańskiej. Jurorzy zagraniczni, zachwyceni piosenką, przyznali Polsce trzecią nagrodę. Podobnie było z zespołem Autograf. Dzień polski również nie obfitował w wydarzenia artystyczne. Bursztynowego Słowika można było przyznać co najmniej kilku jeszcze wykonawcom, zresztą kabaretowa atmosfera wyborów sprzyjała lo-

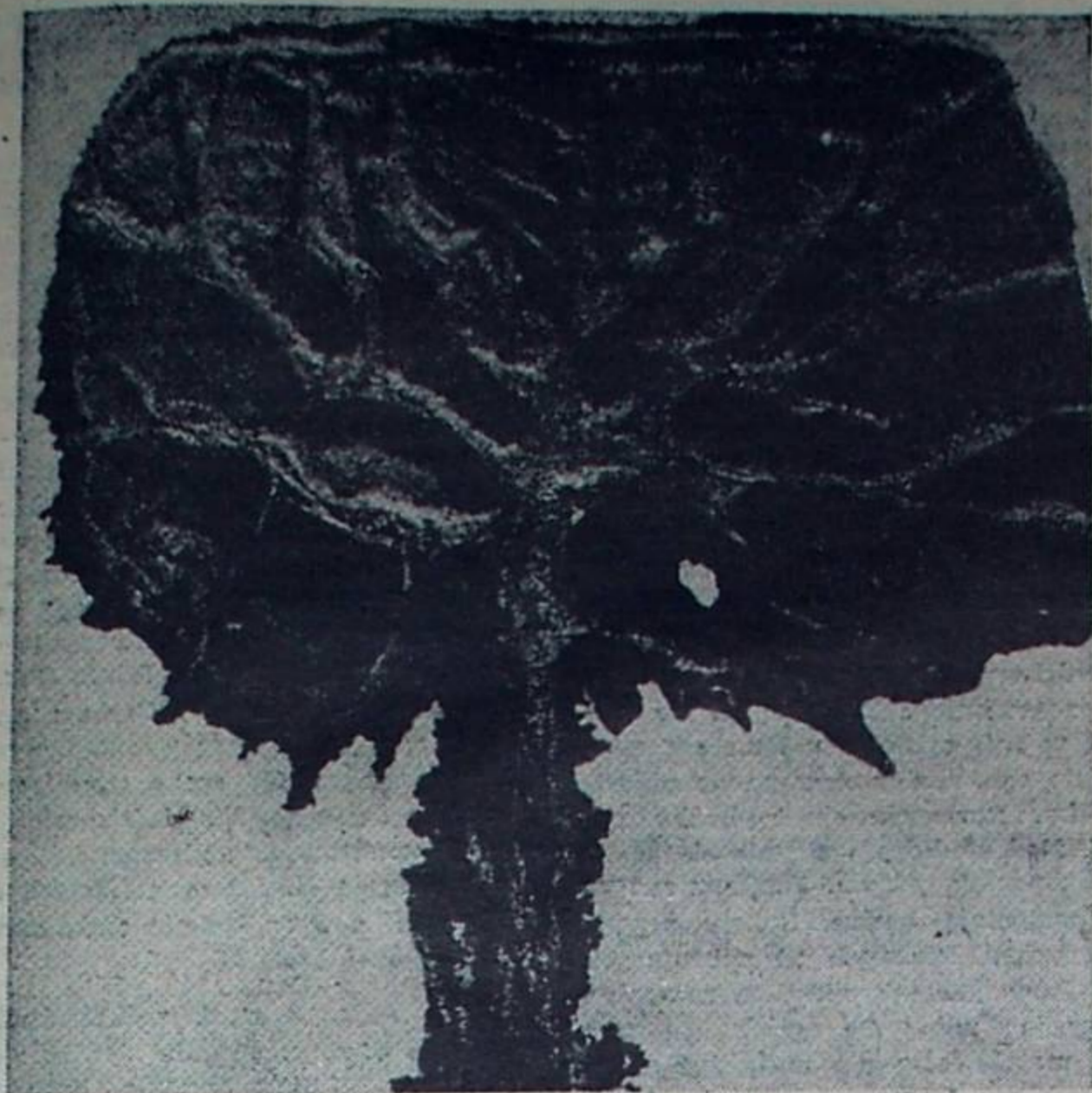
swojego ojca. Zadawano wiele pytań. Przynajmniej odpowiedzi, moim zdaniem, najbardziej interesujące czytelników. Na recital w Sopocie napisał Feliciano specjalną kompozycję „Hiszpański polonez”. Najważniejsze kryterium, które obowiązuje w jego kompozycjach, to trafienie do ludzkich serc. Jose lubi łączyć klasykę z nowoczesną muzyką. Obecnie, na przykład, będzie nagrywał płyty dla kilku wytwórni: dla jednej muzykę klasyczną, dla drugiej piosenki latynoskie, dla trzeciej — muzykę pop. Lubi słuchać Cat Stevensa i ... Chopina. Uwielbia konną jazdę, a także igrzysko. Zaczął grać na plastikowej gitarze mając lat dziewięć. Niestety, gitara ta zaginęła, a obecną zrobił dla niego Kurt Laguna z Kalifornii.

Wydarzenia muzyczne nie mają wpływu na jego kompozycje. Muzyka, jak powiedział, jest dla muzyków, polityka dla polityków. Jose Feliciano nie uważa siebie za gwiazdę, prawdziwie skromny i naprawdę wielki.

W jednym z nim rzędzie postawiłabym Walerego Leontiewa, który zrobił w Sopocie prawdziwy spektakl muzyczny, wypracowany w każdym szczególe, o nienagannej dramaturgii. Szkoda go tylko pokazywać takiej publiczności, spodziewającej się na tutejszej estradzie czegoś zgoła odmiennego. Lecz Leontiewa mamy pod ręką i powinniśmy jak najszybciej zaproponować mu recitale dla koneserów dobrej sztuki.

Wszystkie inne gwiazdy można było sobie darować. Mara Getz pozostawiła po sobie pewien niedosyt. Wspaniały Johnny Cash przesadził nieco katując nas blisko dwie godziny muzyką country i swoją liczną rodziną. Gazebo śpiewał z play backiem (następne trzy miliony złotych wyrzucono w błoto), a po Sojoe spodziewałam się czegoś zgoła odmiennego, kameralnego jazzu, do jakiego jestem przyzwyczajona w jego wykonaniu i gdzie dopiero ujawniają się jego możliwości wokalne. Nowy zespół ma dobry, to fakt, lecz przy takim nagłośnieniu, jak w Operze Lębork, bombardował de-rybelami, że aż w pierśiach dudniło, co odbierało całą przyjemność słuchania nowych utworów.

W przyszłym roku festiwal skończy 25 lat. Tegoroczne i poprzednie doświadczenia wskazują na to, że przez ten długi okres nie potrafiono go należycie wychować. Może więc czas zmienić opiekuna na takiego, który to wyróżnienie już nie dziecko sprowadził na właściwą drogę?



Ewelina Michalska: „Drzewo życia” (brzo).

Fot. Sergio Kurullswill

1  
Ile skupionego czuwania jest w niebie:  
wte ta rzeźba na skraju lasu —  
W strzępach materii Oko Wokująca.

2  
Drzewo życia — jak żywy sztandar.  
Jak zielony kogiel.  
Jak ramiona powijające się z wiecznością.

3  
Tu pieśń południa. Kółka upału.  
Senność słoneczna. I promienne  
zasadki przeznaczenia.

4  
Muzyka odkrytej przestrzeni.  
Muzyka kamiennego wnętrza.  
Muzyka wstrugana w drewno.

5  
Za sprawą myśli, dłuta, dłoni  
— materia śpiewa!

Z gliny można zrobić rzecz czującą.  
W drewnie wystrugać zamysłenie.  
Kamień zmusić do rozumnego trwania.

O, rzeźbo — jesteś wolającym Znakiem  
wędrówki naszej po tym też padole.

1986

## 9 WIEŚNIA ŚWIĘŁO NARODOWE BULGARII

Matej Szopkin

MUZYKA

Liliana Stefanowa

ŚNIEG I NIEBO

Paweł Matew

POWRÓT

Muzyka to męka i słodycze...  
Lecz cię proszę: grać przestań z wieczora.  
Zostaw swoje skrzypce i smyczek,  
otwórz okno, otwórz już pora.

Niech w pokoju zmrók swój zobaczą  
i niech zmierech towarzyszy mi wszędzie.  
Choć samotny, ja dziś nie zapłacze  
i mój duch dzisiaj smutny nie będzie.

Innej muzyki chce w tej godzinie!  
Przeło w ciszy samotny niech błędną,  
woń fiołka wieczorna popłynie,  
gdy powrócę w rodzimą równinę.

Będę słuchał z miłością, bez życzek,  
jak czarnoziem muzykę swą tworzy.  
Zostaw swoje skrzypce i smyczek,  
niech wiatr okno na oścież otworzy.

Śnieg i niebo.  
A wśród nich wieczność,  
tylko my jesteśmy tymczasowi —  
ja i ty.  
Idzie naprzeciw nas zimowy wieczór,  
narty ostatnie ślady wpisały we mgły.

Wszystko jest przejściowe:  
ciepłe słowa,  
ostre spojrzenia,  
bieg tak szybki jak przelotny ptak...  
Wiatr delikatny zasypuje z cicha  
wszelki na zaspach zostawiony znak.

Wolam.  
Mój głos wśród śniegów się rozprasa  
niby topielec rzucony na brzeg.  
Jakże jest krótka cała czułość nasza,  
gdy nas otacza biel.  
Niebo i śnieg.

Czy ty, wiosno, mnie przyzywasz tam?  
Tak jak ptaki co w gniazde nie chronią.  
Ja przybywam. Jest noc. Jestem sam.  
Wciąż kroki moje po wsi drwonią.  
Skrzypią wrota stare. Coś szeleści,  
wagle nieo sąsiedzi gdzieś rozszedli.  
Dzwonią jakis zapomniane wieści  
i dzieciństwo wstać wnie z doleka.

Trwające światło drży niby kometa  
i o male okienko zahacza.  
Czy to mama ta stara kobieta,  
która bosą podwórze przekracza?  
Całe życie dobrze siebie znamy,  
oczy z nami zajaśniały żywiej.  
Ja całuję twarzą rękę mamy,  
co na świecie pieści mnie najkochaiej...

Jakże rzadko odwiedzam rodzinę  
i ten dom, gdzie nigdy nie trwa elemność  
i gdzie w pierwszą życiową godzinę,  
po raz pierwszy człowiek płakał z miłą!...  
W mojej duszy wstyd i troskę znam —  
matka zawsze wierzy memu słowu.  
Czy ty, wiosno, mnie przyzywasz tam,  
trudnisz mnie i mnie odmładzasz znówu?

Przełożył z bułgarskiego

Tadeusz Ross

Rano budzik, parasol, bilet, siatka  
i krótki pocałunek żeby zdążyć na czas  
Daj leca i lata biegiem  
I tak prawie pół wieku  
gonię i gonie to życie  
A czasem przystane nad brzegiem  
I sercem wracam do wioski  
skąd przed laty za pracą  
wywędrowałam — świat  
Biorę półrocznik  
ażby między dniówkami za forse  
znał się czas na refleksje  
Co właściwie zrobiłam  
przez te czterdzięć lat?

— Ten wiersz napisałam dosto dawno.  
Dostałam za niego nagrodę w 1985 roku.  
A w ogóle pierwsza moja nagroda była  
rok wcześniej. W „Tygodniku Zamorskim”  
opublikowano konkurs nt. „Romansie nie zwy-  
słone”. Do tej pory pisałam do szuflady.  
Miałam w niej już opowiadanie. Wstąpi-  
łam tylko pierwszą część, choć akcja, tak  
jak życie, toczy się dalej. Ale uważałam,  
że wystarczy zamknąć rozdział w momencie,  
w którym w zasadzie wszystko się wyjaś-  
nia.

Miałam taki moment w swoim życiu, kie-  
dy jako młoda dziewczyna znalazłam się  
w sanatorium poważnie chorej ale i zako-  
chanej. Jak się jest młoda i piękna, to za-  
wodzi wyobraźnia. Wydało mi się, że  
ja też jestem kochana i nie istnieją żadne  
przeszkody. A tymczasem wustarczyło za-  
chorować. Najlepiej spróbuj się uczy-  
ciła, gdy drugi człowiek potrzebuje pomocy.  
W moim opowiadaniu opisałam to bardzo  
prosto.

W instytucji, w której pracuje pani Gie-  
nia, takich, jak ona są tysiące. Ich praca,  
najbardziej rzecz „stimulac” polega na sta-  
wianiu się o określonej porze w sklepie,  
obsługiwaniu każdego dnia setek nieznanych  
ludzi liczenia pieniędzy. Na nieto ciału do-  
datkowy obowiązek: sama musi dbać o do-  
bry towar, gdyż ten społeczeński klość  
przeznaczony dla pracowników wcale nie  
jest placówką uprzywilejowaną.

— Często wracam do domu bardzo zmę-  
czona i nie mam już siły na pisanie. Ale  
przechodzą momenty, kiedy albo wledek  
przeżyć, albo żalu, albo jakiegoś strachu.

Może też być odwrotnie: radość, uczucie,  
miłość. Wtedy siadam i piszę. Jest mi lepiej.

Wie pani, ja jestem z ludźmi, a na wsi  
to ani wielkich, ani wlekich radości  
ludzie nie lubią okazywać. Nigdy w domu  
nie widziałam żeby ktoś płakał. Twardzi  
ludzie. A ja jestem inna, bardziej uczu-  
ciowa. Może dlatego piszę. Ale nie wyobra-  
zam sobie, żeby to mógł być mój zawód.

Wspomnienia dzieciństwa są zawsze na-  
zywne. Pani Gienia zapamiętała jeszcze  
jak na lekcji polskiego w szkole podsta-  
wowej w Terespolu nauczycielka nazwis-  
kiem Kudakówna, zadawa wypracowanie na

## Nie chce być sławna...

temat „Obyczaje i życie na wsi”. Później  
czytała je przy całej klasie. W sanatorium,  
w Dziekanowie Leśnym, z inspiracji autorki  
wypracowania powstał zespół i program  
niewszemalowy...

— Mój mąż jest pierwszym moim recen-  
zentem. Bardzo krytycznym. Kończył tech-  
nikum, potem oficerską szkołę wojsk zme-  
chanizowanych, tak, że z pisaniami nie ma  
nic wspólnego. Ale jest bardzo uczuciwy.  
Czasem, kiedy posłuję mu swoje opowia-  
dania i wiersze, pada: skąd ty to wszystko  
wiesz? A ja często sama nie potrafię tego  
wytłumaczyć. Nie wó wszystkich tematach  
mogę poruszać się swobodnie. Nie potra-  
fię tak za bardzo wczuć się czy wcielić  
w kogoś innego. Piszę, biorąc pod uwagę  
różne swój punkt widzenia, myśle swoimi  
kategoriami, tylko na tyle, na ile potrafię

ocenić sytuację. Do tego potrzebna jest  
nie tylko duża wiedza, ale i serce.

W tej chwili napisałam nowe opowia-  
danie na konkurs dotyczący alkoholizmu.  
Czytałam już kilka wypowiedzi, przeważ-  
nie kobiet, które skarżą się na swoich mę-  
żów. Mój mąż jest dobrym człowiekiem.  
Ale zdarzył się kiedyś taki przypadek w  
mojej rodzinie, że młody człowiek, będąc  
pod wpływem alkoholu spowodował śmierć  
swojej przyrodniczej siostry, w wypadku  
samochodowym. Dziecioczną poprzedniego  
dnia zdała maturę. On oczywiście dostał  
wyrok skazujący i odbył karę, ale to  
wszystko było niczym w porównaniu do

dzieci, co się dzieje na świecie, dlatego  
czytam przynajmniej trzy, cztery two-  
dniki. A książki, które mam ale w tapce-  
nach. Stoiem, kultura uśpiona. W życiu  
dużo czytałam, poczytały od Homera i Se-  
neki, ale wiem, że trzeba jeszcze dużo wie-  
dzy poznać.

Dlaczego zaczęłam wysyłać moje opowia-  
dania i wiersze na konkursy? Kiedyś, gdy  
mąż był w domu, miałam znacznie więcej  
obowiązków. Pisywałam w pracy albo w  
nocy, kiedy on spał. Pora tym wszędzie  
wymagała minimum pięciu egzemplarzy  
maszynopisu. Ja nie piszę na maszynie.  
Jeśli dam maszynistce do przepisania dzie-  
sięć stron, to muszę też za to dość duże  
zapłacić, a nie mam owarancji, że akurat  
mi wydrukują. Dla mnie jest to raczej ta-  
ka forma sprawdzenia się i takby trochę  
rodzaj hazardu.

Do tej pory, za każdym razem, kiedy wy-  
sylałam coś na konkurs otrzymywałam  
nagrodę. Najpierw za „Romansie nie zwy-  
słone”. Opiniował, między innymi, pan  
Wojciech Żukrowski i pani Hanna Ożogow-  
ska. Te opowiadania wydano również w  
formie książkowej. Potem GOK w Woli  
Stenickiej ogłosił konkurs wierszy nt.  
„Ejarno”. Wtedy nawet po nagrodę nie po-  
jechałam, tak było zimno. Potem dosta-  
łam nagrodę z kurii biskupiej za wiersze.

Pani Gienia w LSS pracuje od 1983 roku.  
Przedtem była bufetowa w „Unii”, a lec-  
cze wcześniej pracowała w tej samej fir-  
mie. W „Unii” stworzyła kabaret „Poł-  
wasem”. Jedyny mężczyzna i wykonawca  
ról męskich miał obłąkany wasw. Ona ni-  
sala teksty, pan Szczodrowski muzykę. Ra-  
no, jeszcze przed rozpoznaćciem pracy, były  
próby. Wyżywali się rolbise programy oka-  
zjonalne, dla własnych potrzeb. Teraz ra-  
rzy o czymś takim również.

— Pewnie się pani dziwi, że nie widzę  
u mnie książek, tylko gazety? Lubię wle-

I. F.

# Czy tu biją?

Dokończenie ze str. 1

Mózgi gnijące, TV, LSD. Bezarna słów, błędny wzrok, dzikie żądze. Głos zemsty, wielki drab w krainie snów, robili coś, wzywali w was bajeczny cud. Przegrać, lecz sercem wygrać coś. Przegrać i duszą zadać cios. („Fundusz bezrobocia”)

## Dzień pierwszy czyli „przebieżka”

Nie ma muru między władzą i społeczeństwem Jarocina, a festiwalem. Gdyby był, w Jarocinie nie byłoby fanów — naczelnik miasta.

Jarocin to skromne, po wielkopolsku gospodarne miasteczko. O szóstej rano ulice są czyste i puste. Tylko grupy młodych ludzi z plecakami i workami na namioty ciągną w kierunku centrum. Przybywają tu chyba wszystkie „dziwolagi” z całej Polski. Szybko przekonam się, że wyglądem nie tu nie znaczy. Są punki (czarne skórzane kurtki i kolorowe czuby na głowach), heavy-metalowcy (strój dzinsowy i malunki na plecach), skin-headzi (wygolone głowy, wojskowe buty i wojskowe kurtki), a nawet Hari Krishna o wyglądzie mnichów, w powłóczystych, pomarańczowych szatach. Kogo tu zresztą nie ma? Są także ci „normalni”.

Jarociński Ośrodek Kultury obfiedio-ry jest ogłoszonymi. J. S. — Jazz. Jezdem tu, sama nie wiem, gdzie. Słuchaj: 5.VII — cały dzień do koncertów na dworcu albo w JOK-u. W czasie koncertu koło konsoly. Masz mnie znaleźć. Inga. Albo: trzech festehlopców poszukuje trzech pań, pautenek, z namiotem. Wskazana czuła, troskliwa opieka. Chętnie dziewczyny proszone są o przyjęcie o godz. 21 pod bar dworcowy i odgrywanie lub zannucenie hymnu państwowego.

Na rynku rozłożyła się „Oaza”. Dziwnym trafem cała armia młodych księży wyznacza sobie także tutaj spotkanie w czasie festiwalu. Czarna sutanna w rozmowie z punkiem to zawsze lakomy kąsek dla fotoreportera. Za chwilę pod strumą góry przy stadionie rusza pierwsza „przebieżka”. Kilku punktów idących na czele dużej grupy rzuca się nagle w opatańczy bieg. Rozlega się tupot butów, jak szybkie klaskanie bata. Tłum kołysze się i zaczyna pogoń. Słychać odmierzane skandowanie: *Zabić skina s...yna*. Z bocznych uliczek wyjeżdżają radiowozy. Wyją syreny. Lek ogarnia niewtajemniczonych. Biegający z przodu nagle rozsypują się po wąskich, przyrynkowych uliczkach. Milicyjne wozy stoją chwilę wyczekując i na koniec zawracają. Nie raz jeszcze bede podziwiał dyskrete służb porządkowych. Muszą tu być, bez nich zapanowałby

w Jarocinie chaos niemożliwy do opanowania. Imponuje mi jednak spokój i bezbłędna ocena sytuacji.

Przekazy o „jarocińskim piekle” bardzo nam przeszkadzają. Liczba trupów przekracza w sensacyjnych raportach fikcję średniej klasy kryminału. Owszem, już zanotowaliśmy jeden gwałt... trzy tygodnie przed festiwalem — zastępca szefa Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

A jednak nie wszyscy mieszkańcy kochają festiwal! Co to, nie masz gdzie stać, tylko na ulicy? — krzyczy miejscowy taksówkarz. Obok na siatce wielki napis: *Na kwatery nie przyjmujemy*. Kwatery prywatne są jednak pełne. Cena, średnio, sześćset złotych za łóżko. W wielu przydomowych ogródkach całe pola namiotowe. Festiwal kosztuje Jarocin dwadzieścia milionów złotych i puste sklepowe półki po wyjeździe gości. Do imprezy się jednak nie dokłada. Koszt karнету na wszystkie koncerty — dwa tysiące złotych. W tym roku przybyło do Jarocina dwanaście tysięcy fanów.

Jeszcze jeden miliard na zbrojenia, jeszcze jeden miliard do trumny. Wszystko dobrze obliczone. *Homo Sapiens* jest rozumny. Jeszcze dzieci płaczą z głodu i nie trzeba nam już miodu („Fort BS”).

## Noc druga czyli „pogo”

W okresie międzywojennym odbywały się wielkie międzynarodowe spotkania skautów. Nikt na nie nie musiał się ściągać młodych. Tym samym jest dla mnie Jarocin — odpowiedź na potrzebę spontaniczności — profesor Mikołaj Kozakiewicz.

Przed wieczornym koncertem „gwiazd” dziennikarze wymieniają sensacje. Zaczęli się kłócić o jakiś drobny białozłoty. Odwróciłam się, kiedy usłyszałam krzyk. Ciężki, okuty but trafił tamtego drugiego w skroń, padł na chodnik. Usłyszałam jakiś trzask, jakby pękniętej czaszki. Podbiegłam do tego chuligana, złapałam go za kłapy i krzyknęłam: *„Zabiteż człowieka!”* Tylko jeden z nich przystanął. Razem sprowadziliśmy pogotowie. Z uszu pobitego wypływała krew. Czy tak rozdzieli się legenda? Słowa dziewczyny znalazły, niestety, potwierdzenie. W chwilę potem zobaczyłam porządkowego z przeciętą żyłką twarzy.

Wieczorny koncert na stadionie ma bogatą, świetną oprawę. W tym roku przegląd orkiestr amatorskich odbywa się w amfiteatrze. Duża scena zarezerwowana jest dla gości. Przybyło ośmiędziesiąt jeden grup i solistów. Za boiskową siatką rząd kramików gastronomicznych. Kielbasa na gorąco.

napoje. Wielki kolorowy tłum podryguje w ciągłym ruchu. Na obrzeżach zbitej grupy pod sceną jedni leżą na trawie, inni kulą się w śpiworach. Atmosfera fascynującego pikniku. Twarda, ciężka muzyka bombarduje miasto. Masy fanów przemieszczają się w zależności od stylu panującego właśnie na estradzie. Na razie „Kult” — muzyka punków. Heavy-metalowcy gwizdają. Padają rzadko uchwytne, w tym halasie szysterstwa. Młodzówka dziewczyna skacze rytmicznie na ramionach chłopaka. A pod samą sceną „pogo” — dziki szal punków. Raz po raz wykwitają w górę fontanny trocin, którymi wysypano tę część placu. Tancerze obijają się bokami, wymierzają sobie szturchańce. Na twarzach noszą trójkątne, kowbojskie chusty. W tłum wycelowują się teleobiektywy. Szeroki las podrygujących rąk. Ale prawdziwy szal ogarnie zbiorowisko, gdy pojawi się „Kat”. To już nie występ, to całe misterium. Na scenę wchodzi się ogromna, malowana na płótnie czaszka. Rozlegają się wybuchy petard. Nad stadionem ciągnie się gęsty, słodko pachnący dym. Jupitery raz po raz zmieniają barwę. Soliści prawie nie słychać. Podmucha od wibrujących głośników jest tak silny, że rozsypuje włosy jak wiatr. Po dwóch utworach fani metalowców nie mają już głosu, by krzyżeć. Kamery telewizyjne i sylwetki fotoreporterów zasłaniają im widok. Lecą więc w naszym kierunku pomidory i papierowe kule. Operator ABC zostaje trafiony w czoło. Tłum szaleje z uciechy. W ubiegłym roku wyrzucono w publiczność podziurawione torby z maślanką. Wydaje się, że następny wykonawca, weteran rocka — Tadeusz Nalepa nie ma już po co wychodzić. Ale blues przebija się dziwnie do publiczności. Raz po raz zrywają się oklaski. Późną nocą wracam na kwatery w towarzystwie miejscowej dziewczyny. Szkoda, że nie mogę zostać do końca — mówi. *Jutro praca. Bardzo już polubiłam tę muzykę. Niech pan powie, czy to nie lepsze niż się wieczorami upijać?*

## Dzień drugi, noc trzecia, dzień trzeci czyli „szczekaczka”

Nie widzę w tym festiwalu czegoś nadzwyczajnego, wyjątkowego. Po prostu młodzież, pragnąca wspólnie, publicznie przeżywać swoją muzykę, spotyka się ze sobą. Cóż więc w tym dziwnego? Czy można im tego zabronić? — ksiądz Lemański, parafia św. Marcina w Jarocinie.

Trzy młodzietki „punkowy” siedzą, jak małpki, na ławce przy rynku. To jedna z nich tak wspaniale wczoraj tańczyła. Przed nimi dwóch zachodnich reporterów. Błyskają flesze.

Ja też ucze się za fotografa. Kiedyś tu przyjadę. Fajnie jest pić mleko i jeść bulke na śniadanie, bo po południu, to nie ma.

W sprawach finansowych obowiązują tu wspólnota. Na posiłek dla potrzebujących składa się cała sala po trzy, cztery złote. Wspólnota obowiązują tu zresztą wszędzie. Chyba, że trafią na siebie dwa wrogle odlamy.

Pole namiotowe rozłożyło się cztery kilometry za miastem, w pobliżu — usypiska śmieci. Przy głównej bramie radiowęzeł — Hareerskie Radio „Nieprzemakalni”. Działa w promieniu piętnastu kilometrów wokół Jarocina. Za drobną opłatą realizuje także ogłoszenia z pogranicza obyczajowego luzu. Pierwsze: *Uwaga, uwaga. Pilnie sprzedam pięć prezerwatyw. Czekam pod szczekaczką tylko sześć minut*. Drugie: *W namiocie nr 124 czeka zasypiająca z nudów dziewczyna. Nie dajcie mi znać. Gwarantowane wyżywienie i... nie tylko*. Maryla K. I. trzecie: *Maciek R. z Przemysła! Przy bramie czekają rodzice. Sygnal brat*.

Długa rymna z rurą, w której nawiercono otwory. Cienkie strużki wody sączą się nieprzerwanie. Natryski są w drewnianej szopie, podobnie jak toalety. Każda z nich przewyższa czystością tę z Placu Litewskiego. Obok, w jarmarcznej budce, strażacy sprzedają na litry herbatę. Cena litrowej butelki — trzydzieści złotych. Klerownictwo pola ukrywa się pod wojskową, maskującą siatką. Nie opodal — punkt medyczny. Najwięcej ludzi cierpi na przeziębienia. „Sensacyjnych” chorób nie zanotowano. Spośród kolorowych namiotów dobiega nagle przeraźliwy krzyk: *pali się!* Służby przeciwpożarowe podrywają się do biegu. Tak rozpoczyna swój występ pantomima z Wrocławia. Dla punków trochę to drętwe. Śmiechy i pokrzykiwania. Za to wybory Miss Pola wzbudzają prawdziwe emocje. Wygrała Lena Schubertova z Olomuńca. Znowu „cudzoziemka”. Budki gastronomiczne są dobrze zaopatrzone. Choć to nie Sopot. „Społem” i tutaj koncentruje środki. W ogóle oprawa festiwalu jest co roku lepsza. Oby tylko nie uległ całkowitej komercjalizacji. Już teraz w Jarocinie, po prostu wypada być.

Idąc na wieczorny koncert widzimy jak na mostku przewraca się na ziemię z nadmiaru alkoholu „spokojny” obywatel Jarocina. Drugi szarpie go natrętnie za rękaw. W mieście i okolicy obowiązuje w czasie festiwalu całkowita prohibicja. Województwo poznańskie odległe jest jednak tylko o siedemnaście kilometrów. MO nie zatrzymało żadnego pijanego fana.

## Ekran i widz

### Komandosi ruszają w Kosmos

JESZCZE nie ostygły emocje po amerykańskim „Elektronicznym mordercy” Jamesa Camerona, a już mamy na ekranach kolejny film tego reżysera: „Obcy — decydujące starcie”. Ten rozgrywający się w przestrzeni kosmicznej krwawy horror, w którym przybyli z Ziemi komandosi walczą z... monstrualnymi potworami na opanowanej przez nie dalekiej planecie, ma być kontynuacją filmowej opowieści angielskiego reżysera Ridleya Scotta „Obcy — ósmy pasażer „Nostromo”” powstałej w 1979 r.

Film Scotta ukazywał dzieje pewnej wyprawy w Kosmos zakończonej w tragiczny sposób: oto w pobliżu nieznanego planety obserwowanej przez załogę badawczego statku kosmicznego, dostaje się

na jego pokład zarodek jakiegoś nieznanego dotąd, żywego organizmu; przenika on do ciała ludzkiego, rozwija się w nim, a w końcu — przez poczwarę się w krwiożerczego potwora, który, wyrwawszy się z brzucha swego „nosiela”, z niezwykłą agresywnością atakuje i niszczy wszystko dookoła. W końcu przy życiu pozostaje jedynie kobieta — pilot Ripley, młoda atrakcyjna dziewczyna, która po długiej, samotnej walce z potworem wyrzuca go w przestrzeń kosmiczną i wyrusza w drogę powrotną na Ziemię.

„Obcy — ósmy pasażer „Nostromo”” był filmem przeciętnym a chwilami — (wbrew zamierzeniom reżysera) wręcz... zabawnym; a to dzięki licznym „niesamowitym” sytuacjom, przerysowanym przez twórcę w sposób karykaturalny. Miał jednak równocześnie dwa niezaprzeczalne atuty, które równoważyły jego słabości; doskonałą scenografię oraz odtwórczynię postaci Ripley — niezwykle atrakcyjną młodą aktorkę, Sigourney Weaver. Dekoracje i postać potwora kosmicznego zaprojektował zaangażowany przez Ridleya Scotta szwajcarski malarz surrealisty, H. R. Giger, a zrobził to tak doskonale, że w 1980 r. „Obcy” otrzymał w Stanach Zjednoczonych „Oscara” — „za efekty wizualne”. Co do Sigourney Weaver, to ta mało znana dotychczas aktorka amerykańska występująca w teatrze „off Broadway” w zespole Josepha Pappa, i w kilku telewizyjnych serialach, stanęła wówczas u progu prawdziwej kariery filmowej. Karierę wielkiej gwiazdy Sigourney Weaver w końcu nie zrobiła, ale jednak zapisała się jako ekranowa osobowość w kilku następujących swoich rolach

filmowych; przede wszystkim — w doskonałym australijskim filmie „Rok niebezpiecznego życia” nakręconym przez Petera Weira, gdzie odtwarzała postać Jill Bryant, pracownicy brytyjskiej ambasady w Dżakarcie.

Pisząc przed siedmiu laty w niniejszej rubryce o „Obcym” Ridleya Scotta, pokpiwałem dość złośliwie z pokazywanych nam na ekranie „kosmostrachów” (taki też był tytuł owego felietonu), nie sądziłem jednak, że historia Ripley będzie miała swój ciąg dalszy. A przede wszystkim — że kontynuator opowieści o „Obcym”... zakasuje bez reszty swego poprzednika w mnożeniu nieprawdopodobnych pomysłów, doprowadzając absurdalność fabuły w „Obcy — decydujące starcie”, do zenitu!

James Cameron należy do tej grupy młodych amerykańskich reżyserów, którzy w wieku trzydziestu kilku lat są już doskonałymi „technikami” kina, ludźmi posługującymi się z ogromną łatwością kamerą, utalentowanymi inscenizatorami dynamicznych, pełnych niebezpiecznych akcji scen, gdzie trup pada gęsto, pistolet maszynowy nie milknie prawie ani na chwilę, a kaskaderzy mają ręce pełne roboty. Ci twórcy, równie dobrze się czują na wielkomiejskiej ulicy, w dzielnicach gangsterskiej, na torze wyścigowym, jak i — w Kosmosie. Zawsze bowiem kręca, w pewnym sensie „ten sam” film: przygodowa, oparta na motywach bezużytecznej ucieczki — pogoni, opowieść, utrzymaną w „komiksowej poetyce”, w której tylko sceneria jest różna; natomiast postacie, sytuacje dramatyczne, zachowanie się bohaterów, ich spo-



## Dzień czwarty, noc piąta czyli niepokój

Nie, ja nie mam sposobu na życie, ani filozofii, chyba. I nie jestem normalny. Ale może w przyszłości, pokonam sprzeczności, które są we mnie. Głęboko. Może coś jeszcze mogłoby ze mnie być?... Jakiś porządny człowiek. Albo dobry. Bo dobry człowiek, to taki, który ma rodzinę, pracuje sam na siebie. I chce jak najlepiej. To znaczy chce, żeby w jego życiu było jak najmniejszej błędów — Marek, punk z Lublina.

Jarocin dawno już przestał być jedynie festiwalem muzyki rockowej. Stał się zjawiskiem, a coraz bardziej staje się także symbolem, przy czym nie zmieniły się tak bardzo zasady, a jedynie forma. Z muzycznego punktu widzenia jest to ten sam rodzaj buntu, co jazz lat dwudziestych, wczesny rock lat pięćdziesiątych, czy hard-rock lat siedemdziesiątych. Młodzi mają prawo do buntu, a nade wszystko do poszukiwania dróg własnej identyfikacji. Obyczajowo, dzisiejsi punkowie, to wnuki dawnych beatników i dzieci byłych hippisów. W Jarocinie przeczytałem trawestację znanego niegdyś powiedzenia: *Kto w młodości nie był socjalistą, ten na starość będzie łajdakiem*, brzmiała ona: *Kto w młodości nie buntuje się przeciw zastanemu światu, na starość będzie nikim*. Jarocin to diablo trudna sprawa do opisanie. Można i trzeba patrzeć nań wieloznacznie. Zdecydowana większość przyjeżdżających tu fanów to normalni, wrażliwi, mądzy i porządni ludzie. Wielu członkom rad pedagogicznych pobyt w Jarocinie bardzo by się przydał. Nie jestem zwolennikiem fetyszyzowania czegokolwiek. Każda próba przeintelektualizowania tego zjawiska byłaby równie fałszywa, co dwuminutowa relacja telewizyjna z jarocińskiej „zadymy”. Po ulicach tego miasteczka chodziłem w większym poczuciu bezpieczeństwa niż po Starym Mieście w Lublinie. Jak powiedział były szef festiwalu Walter Chełstowski, *przygotowania do Jarocina nie mogą tylko przypominać przygotowania do wojny*. Mój komfort psychiczny w niczym nie ucierpiał, gdy podchodził do mnie z uśmiechem dziwnie ubrany człowiek, prosząc o pięć złotych. Kiedyś w pobliżu domu wyciągnęła się ku mnie brutalna łapa i ochrypliły głos warknął: *Frajer, rzuć stówę bo zarobisz w rękę*. Ale Jarocin to przecież nie sielanka. Zdarzają się i tu niepotrzebne „przebieżki”, nagłe wybuchy agresji i chuligańskie rozróby. Nigdy naprawdę nie wiadomo, która odmiana sub-kultury uzyska w zbiorowisku przewagę. Tak jest jednak wszędzie. Na konferencji prasowej, zastępca szefa jarocińskiego

RUSW podał „bilans” tegorocznego festiwalu: w kartotekach milicyjnych zanotowano sześć przestępstw (trzy przypadki narkomanii, jedną kradzież, jedno pobicie i jeden wypadek przywłaszczenia mienia), oraz dziewięćset dziewięćdziesiąt wyroków. Jedenaście osób osadzono w areszcie. W tym okresie dwudziestoczwartotysięczny Jarocin gościł około dwudziestu tysięcy przyjezdnych.

Wspaniałą jest rzeczą słyszeć pięćdziesięcioletnie kobiety wymieniające ze swadą nazwy młodzieżowych zespołów i kuszące się o ocenę ich gry. Wspaniale jest widzieć uśmiechnięte kelnerki czy ekspedientki podające towar człowiekowi, który w innym małym mieście Polski, a może nawet w stolicy, spotkałby się w najlepszym przypadku z pogardą lub poniżeniem. Świetnie jest widzieć milicjanta, legitymującego z humorem najbardziej dziwnych osobników. Bo Jarocin to także wielka sztuka tolerancji i sympatii dla człowieka, bez względu na jego inność.

Z postaw przybyłej do Jarocina młodzieży przebija głęboka frustracja, czasem nadmierna negacja, ale także ta sama troska, która gnębi nas wszystkich. Bardzo wiele tekstów mówiło o atomowym zagrożeniu świata, o wyniszczeniu naturalnego środowiska, o kamiennych pustyniach, w których zamknęła się współczesna ludzkość, wreszcie o samotności. Na koncercie finałowym, wyróżniony zespół „Chłopcy z placu broni” wyśpiewał tekst, który nie podany przez muzycznego idola, zapewne skwitowałaby zebrana tam publiczność, jako zbyt patetyczny. Cytuję z pamięci: *Ja naprawdę kocham cię Polsko i przykro mi, że dotąd tak się do ciebie spóźniałem*. Powierzam. Jarocin to nie sielanka, ale to z pewnością także nie piekło. Największą wartością tego spotkania wydaje się być jego naturalność, choć po Jarocin wyciągają się co chwila różne ręce. Jakość komercyjna festiwalu ciągle wzrasta, ale wciąż jeszcze nie innego co „zorganizowane” nie jest w stanie go zastąpić. Z chwilą, gdy przyjdzie taki moment, festiwal napotka swój kres. Bo choć prawdą jest to, co powiedział naczelnik, że bez społeczeństwa Jarocina nie byłoby w nim fanów, to prawdą również jest i to, że bez fanów nie byłoby „Jarocina”. Ci młodzi ludzie szybko wyczuwają, kiedy rzeczy tracą swą naturalną wartość. Wszystkich oburzonych, znających to zjawisko z daleka, namawiam do przyjazdu. Kiedy po finałowym koncercie wstawałem nad Jarocinem kolejny dzień, usłyszałem westchnienie starszego mężczyzny: *A jutro będzie tu już znowu tak pusto i nudno*. Od poniedziałku w Jarocinie sprzedają alkohol, a wieczorami jak zawsze zapala się telewizory.

Tegoroczny festiwal wygrał zespół „Detonator BM”.

Wiesław Horabik

Teksty piosenek i fragmenty niektórych wypowiedzi pochodzą z miesięcznika „Mój świat”: nr 3/87.

# Zderzenia

## Fasolka kontra maliny

**I ZNOW NA JEDNEJ STRONIE LUBELSKICH GAZET**, jak wyze znad Wysp Azorskich i niżej Ukrainy, ściera się ze sobą dobre i złe wieści. Oto obrodziła fasolka szparagowa, ale za to po wiśnie trzeba jechać na drugi koniec Polski. A z malinami to jest tak, że plantatorzy zamiast 400 ton tego owocu dostarczyli do ZPOW w Milejowie tylko 62 tony. Co tu więc odpowiedzieć zagranicznym kontrahentom „napalonym” na milejowskie przetwory z malin? — martwi się dyrekcja. Za to plantatorzy fasolki przywożą na punkt skupu 150—210 ton towaru. Dwie linie technologiczne Lubelskiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Chłodniczego w Lublinie harujące przez całą dobę są w stanie przerobić 80—90 ton tego warzywa. Dyrekcja przedsiębiorstwa zdecydowała się na „przerzuty” nadmiaru szparagówki do „Hortexu” w Leżajsku. Podobną klęskę urodzaju przeżywały i inne zakłady przetwórcze i chłodnicze, martwiąc się, jak wykorzystać bez strat ten surowiec.

W „Kurierze Lubelskim” z 11 sierpnia br. ukazało się aż pięć ogłoszeń (trzy ekspresowe) poszukujących chętnych do zbioru fasolki. Szparagowa więc górą, gorzej z malinami, jabłkami, wiśniami. Zupełna kłapa grozi natomiast czarnej porzeczce — na planowanych 950 ton w Milejowie skupiono tylko 173 tony owocu, zaś czerwonej porzeczki do zakładów trafiło 230 ton zamiast planowanych 900. Jednego za dużo, drugiego, za mało, a po środku prawda znana od lat — niewydolność naszego przemysłu przetwórczego.

## Małe jest praktyczne

**ŻNIWA — PRÓCZ POGODY**, trudu rolnika, braku sprzętu i maszyn, ręk do pracy, zaopatrzenia wiejskich sklepów — to także tasłemcowe kolejki samochodów i ciągników do elewatorów. I wielogodzinne czekanie rolników na odebranie zboża, często w deszczu, chłodzie, godzinach nocnych, bez możliwości zakupu czegokolwiek do jedzenia i picia. Co roku, jak donoszą środki masowego przekazu, dopina się przygotowania do odbioru zboża na ostatni guzik i... co roku guzik ten odrywa się z trzaskiem z tego samego miejsca, to znaczy spod elewatorów i magazynów zbożowych. Jest tych obiektów za mało, przeważają giganty, do których woz się zboże z jednego końca województwa na drugi, tracąc czas, paliwo, jakość ziarna i nerwy. Od lat rolnicy wołają o budowę małych elewatorów, takich na 5—10 tysięcy ton, w niedalekiej, 20-kilometrowej odległości od dostawców. Chcą też małych chłodni, małych zakładów przetwórczych, małych elektrowni, młynów... Małe jest nie tylko piękne, ale i bardzo praktyczne. Obiektami tymi zawiadnęła jednak okrutna pani Gigantomania.

## Żal serce ścisła

**Z PRASY:** „Na statystycznego mieszkańca przypada około siedmiu rolek papieru toaletowego rocznie, po 1990 roku, docelowo osiągnie się produkcję zapewniającą każdemu jedną rolkę na miesiąc. Jak zatem widać, problem papieru toaletowego nie będzie rozwiązany do końca XX wieku”.

Z życia: Goniec i tropić będziemy więc ten rarytas do 2000 roku, a może i dalej w XXI wiek. Na lubelskim bazarze rolka toaletowego kosztuje 50 złotych, a może i więcej.

W sklepach papierniczych papieru tego chronicznie brak, nie żaluje się go natomiast do... mycia sklepowych wystaw (niedawny przykład z lubelskiego „Domu Sportu”). Na widok tego „niewinnego” marnotrawstwa żal serce ścisła, żeby nie określić dosadniej!

## Dzieci i petardy

**„WOBEC MNOŻĄCYCH SIĘ TRAGICZNYCH WYPADKÓW Z DZIECI, Krajowy Komitet Dziecka zwrócił się z apelem do rodziców, nauczycieli, organizatorów zabaw i wypoczynku, do wszystkich dorosłych, o otoczenie dzieci podczas wakacji szczególną opieką”.**

I co? I nic. Dzieciarnia bez najmniejszego zainteresowania i opieki rodziców — nieposłuszna na uwagi dorosłych — harcuje po osiedlach do późnych godzin wieczornych, strzela z petard, także i pod progami mieszkań (osiedle im. H. Sienkiewicza w Lublinie), dręczy zwierzęta, niszczy zielen, albo godzinami bezczynnie wysiaduje pod klatkami, grając w karty lub plując pod nogi przechodniów. Klnie, pyskuje, jest arogancka. Pozornie ten stan bezpieczeństwa nie powoduje groźnych wypadków, ale to tylko pozornie. Nuda, bezczynność, brak zainteresowania ze strony rodziców tym, co ich pociechy wyczyniają na placach zabaw, boiskach, pod blokami jest nie mniej groźna niż woda i ogień.

## Idea słuszna, lecz...

**W LUBLINIE**, u zbiegu ulicy Zana i Alei Kraśnickiej, wznoszony jest ze społecznych składek pomnik poświęcony „Obróńcom Lublina w 1939 roku” — lubelskim harcerzom, żołnierzom, osobom cywilnym, które poległy bohaterstwo w obronie miasta. Idea i czyn ze wszech miar słuszny i szlachetny. Oby tylko za nim podążały takie wychowanie dzieci i młodzieży, by nie trzeba było pisać w prasie o przykrych wypadkach złego zachowania się — także i dorosłych — jak to już niejednokrotnie zdarzało się przy pomniku Ofiar Zamku Lubelskiego w parku na Rurach. By nie trzeba było, jak na Majdanku, przepędzać spod pomnika osiedlowych rowerzystów, zwracać uwagę o niezwywanie kwiatów, śmiecenie...

Miesiąć Pamięci Narodowej mija po 30 dniach, dbałość rozkłada się na lata i pokolenia. Są miejsca i pomniki, których wygląd przeczy kulturze pamiętania.

(dey)

sób reagowania — podporządkowane są pewnym stałym kanonom. W ich rękach kino staje się czymś w rodzaju zabawy z komputerem, do którego wprowadza się określone współrzędne i po naciśnięciu guzika z napisem „atrakcyjność” ma się otrzymać, elektronicznie wymierzony i wyliczony, wynik końcowy. I jest to „operacja” efektywna, ale ze sztuką niewiele mająca wspólnego.

„Obcy” Ridleya Scotta nosił w sobie — przy wszystkich potknięciach twórcy — urok surrealistycznej baśni. „Obcy — decydująco starcie” Jamesa Camerona jest tylko spotworniałą filmową „konstrukcją”...

Łącznikiem pomiędzy filmem Scotta i filmem Camerona jest postać kobiety — pilota Ripley (którą odtwarza tutaj również — Sigourney Weaver) no i, oczywiście, kosmiczne potwory. Po powrocie Ripley z poprzedniej podróży wyrusza, po latach, kolejna ekspedycja w kierunku „tajemniczej planety” (na której, zresztą — w okresie, gdy bohaterka żeglowała, nie starzejąc się, poprzez bezkresy Kosmosu — powstała ziemská kolonia), z którą przerwany został kontakt radiowy. Podejrzewa się, że kosmiczne potwory, o jakich opowiada Ripley, napadły na ludzi obsługujących urządzenia wytwarzające na planecie sztuczną atmosferę. Ripley zostaje dołączona do ekspedycji ratunkowej jako konsultant „do spraw zwalczania potworów”.

Dotąd wszystko mieściłoby się jeszcze w schemacie filmu „science-fiction”, czy też raczej — „fantasy”, gdyby nie fakt, że w pewnym momencie akcja zaczyna pobrzmiwać „treściami” jakby

wyjętymi z filmów, w których bohaterem jest „Rambo”. Oto ekspedycja ma charakter militarny, została powierzona grupie komandosów; ściś-



lej... „marinesów”, którzy, jak na filmowych „marinesów” przystało, prezentują imponujące bicepsy, obwieszeni są od stóp do głów pistoletami

maszynowymi, miotaczami ognia i granatami, a ubrani są... w maskujące (!) mundury, niczym w tropikalnej dżungli... Dla lepszego efektu jest także kilka dziewczyn — komandosów, także z bicepsami jak bochny.

To, co się później (po wylądowaniu ekspedycji na „tajemniczej planecie”) dzieje, przypomina — jako żywo — słynną „Parszywą dwunastkę” Richarda Aldricha. Tyle, że zamiast gestapowców, esesmanów i oficerów Wehrmachtu, dzielni „marines” mają za przeciwników wstrętne kosmiczne stwory, przypominające skrzyżowanie nietoperza z jaszczurem oraz smokiem wawelskim. Trup ściele się obficie, płomień bucha z ręcznych miotaczy, a na koniec wybuchu jeszcze reaktor atomowy! Dzielna Ripley znowu walczy w pojedynkę z potworem... Aż w końcu, gdy już prawie wszyscy... zginęli — sytuacja zostaje „zreżymie” doprowadzona do zwycięskiego finału który jednak jest tak pomyślany, aby w przyszłości, gdy zajdzie potrzeba, można było kontynuować walkę z potworami...

Kto chce, niech ten film ogląda. Ale uprzedzam: trwa on dwie godziny i siedemnaście minut, to znaczy co najmniej o pół godziny za długo jak na wytrzymałość przeciętnego kinomana. I w tym względzie twórcę filmu chyba zawiadła jego „matematyczna precyzja”.

M. D.

# Wspomnienia Adama Cchockiego z lat wojny (2)

**D** WORMAN, którego mi teść polecił, powitał mnie chłodno-grzecznie. Tak, tak, fao uciekinierów jest przykry, szczerze współczuję, dobrze, że ma pan dach nad głową, proszę przyjąć ten kupon materiału, wyjdzie z tego ładne ubranie.

Szlechtera znalazłem bez trudu. Z plakatu w oknie wystawowym dowiedziałem się, że występuje w kinie „Marysieńka” na placu Słońki. Był kierownikiem i duszą niewielkiego zespołu artystycznego, ich popisy odbywały się przed seansami filmowymi.

— Walizka Lutka jest u moich rodziców, ojciec prowadzi restaurację. Proszę zostać na przedstawieniu...

Emanuel Szlechter, autor znakomych piosenek, poeta, satyryk, popisywał się na deskach „Marysieńki” żydowska ballada, do której napisał słowa polskie:

*Kiedy rabi Eli Mell  
wypił wina pierwszy kielich,  
wypił wina pierwszy kielich Eli Mell,  
to skrzypeczki mu zagraty,  
a basette wtórowały...*

Wyjaśniła się sprawa dobrego humoru Stefana. Dogadał się z poznanymi u „George’a” krakusami, postanowili otworzyć udziałową restaurację. Wiedząc o tym w rubryce „zawód” przewidującą podał kelner!

— Już mamy lokal na Halickiej. I tak nazwiemy naszą knajpę.

— A co ze mną? — zmarkotniałem.

— Do udziału w restauracji potrzebna jest duża gotówka, a ty jesteś golodupiec. Zobaczymy, jak z tą szoferką nie nie wyjdzie, może znajdzie się jakaś robótka u nas.

Kuzyn po kilku dniach wyprowadził się od Melmanów. Trafila mu się okazja: za małe pieniądze odkupił dwupokojowe mieszkanie. Ech, ci kelnerzy zawsze mieli łeb na karku!

U Melmanów czułem się bardzo dobrze. Kropowało mnie tylko, że nie chcą brać za komorne, mało tego — podkarmiali mnie regularnie, a gdy kiedyś przyniosłem coś z miasta, pani Sonia zbesztala mnie.

Zaprzyjaźniłem się z Marylką. Opowiedziała mi pyszna historyjkę. Oficer ze stacjonującej w mieście jednostki dostał przydział na pokój w mieszkaniu jakichś nowobogackich. Stał tam fortepian. Oficer, Kalmuk czy Kazach, z nabożeństwem spoglądał na instrument. Pan domu w gruncie rzeczy kadowolony, że będzie miał u siebie wojskowego, bo dawało nadzieję na mięsne konserwy, kawę czy dobre papierosy, chciał zażponować przybywawo i upokorzyć go.

— Eto, towarzyszu, znajecie, fortepian...

— For... te... pian...

— Da, O, tutaj bam, bam! — gospodarz uderzył w klawiszki po lewej stronie — a tutaj ti, ti! — orzechał palcem po klawiszach z prawej.

— Bam, bam... ti, ti... — wyszeptał skończoności oficer, poglaskał klawiaturę, usiadł i zagrał „Etiudę rewolucyjną” Chopina...

W bazie transportowej powitano mnie z radością. Ależ, oczywiście, wprowadzić raczej w nam potrzebni mechanicy, ale i dla kierowcy znajdzie się miejsce, tylko musicie, towarzyszu, zacząć znowu tygodnie, bo nasz ZIS jest w remoncie. Prawo jazdy macie?

— Niestety, zostawiłem w Łodzi.

— To nic, zrobimy próbną jazdę. W każdym razie od jutra jesteście naszym pracownikiem, doświadczenie przydziałowe kartki, no i awansem trochę gotówki!

Czekać, to czekać. A tymczasem mój kuzynek w zaimm kłtu krztał się już po „Halickiej”. Szybko się przekwalifikował. Przysięgam, że całe życie nic innego nie robił.

A moja próbną jazdę odremontowana półtorakówka wypadła nieszczerze. Nie dość, że wjechałem na ulicę jednokierunkową z przeciwnej strony, to jeszcze ze zdenerwowania zderzyłem się głową z kłosem na rogu ulicy!

— Nie martw się — pocieszał mnie Stefan. — Rozmawiałem z Bochenkami i innymi współdziaławcami. Zatrudniny cię jako pikolaka. Zarząd bezzaładne, stała pensja, no i coś ci tam zawsze kasone z napiwków!

Któregoś dnia pani Sznja sakomunkowała mi nową: biuro zakwaterowania przydzieliło pokój w ich mieszkaniu jakiegas wojskowemu. Chociaż zapewniała, że dla niej i mejs jeden pokój wystarczy, zdecydowałem, że muszę znaleźć sobie jakieś locum na mieście.

I tutaj niedomówiona przysięga oddała mi nowe objęte stanowisko. W zastępstwie kelnera, który gdzieś się zawieruszył, inkasowałem należność od kłanego ze słanych bywałów.

— No to do widzenia! — podał mi rękę. — Chyba nieprędko się zobaczymy. Życzę szybkiego awansu!

— Pan wyjeżdża? — teraz dopiero warok mój padł na stojącą obok walizkę.

— Tak, przenoszę się do Drohobycza.

— A... gdzie pan mieszkał?

— Na Małeckiego pod płatym, u pani Rippel.

— Czy ten pokój jest wolny?

— Tak, nikt się jeszcze nie zgłosił.

Zwolnilem się z pracy, pobiegłem pod podany adres i dogadałem się z sympatyczną staruszką. Pani Rippel, wdowa, miała dwie córki. Starsza, zamężna, mieszkała oddzielnie, młodsza, rzeźbiarka, przebywała z matką.

A zatem — bomba! Mam swój własny kat. Moje kontakty z Melmanami nie osłabły. Wolny po pracy czas (pracowałem w „Halickiej” od dwunastej do ósmej wieczór) spędzałem przeważnie w ich towarzystwie. Do Marylki przyjechał narzeczony z Warszawy, inżynier. Ale rzadko się spotykali. Nadal wygrywałem szlagiery (pianino przeniesiono do jadalni po wprowadzeniu się nowego sublokatora). Był to całkiem sympatyczny komandir z Kijowa, znał trochę polski, sypał anegdotami i doraźnie wspomagał sożarnie gospodarzy.

## Wychyliłem się spod koca...

Melmanów odwiedził Wacek Polecki, jeden z pierwszych pracowników „Republiki”. Zaczynał razem z moim bratem i Passiermanem w 1923 r. Ożenił się we Lwowie z młodszą „bieżenką”, zaprosił nas na lampkę wina do swego sublokatorskiego pokoju.

Przyjemnie upływał nam czas na pogaduszkach. A mnie po dwóch kieliszkach coś naszło. Siedziałem tuż obok Marylki. Noga poszukałem pod stołem jej nogi. Rozmawiała z kimś, żaden muskuł nie drgnął na jej twarzy. Powtórzyłem mój manewr oszczędzający, krew napłynęła mi do twarzy, spojrzałem na zegarek.

— Pani Marylko, dochodzi ósma, spożniemy się do „Marysieńki”!

Kądkł jej ust rozchyliły się w lekkim uśmiechu. — Słusznie, pora iść!

Na schodach objąłem ją drząc z podniecenia. Nie bronila się, odwzajemniła pocałunki, a gdy moje pieszczoty stawały się coraz śmielsze, powstrzymała mnie.

— Nie tutaj... Jeszcze nas ktoś nakryje... Chodźmy do siebie.

No i stało się. Leżąc koło niej uspokojony, odpreżony, zapytałem:

— Nie masz wyrzutów sumienia? Co będzie, jeśli twój narzeczony zorientuje się?

— Władek? To fajłapa. Znamy się już od roku i wiesz, tylko raz mnie pocałował, w dodatku musiałam go sprówokować.

Zapewniła, że będzie mnie odwiedzać.

— Nawet codziennie, jeśli wytrzymaś kondycyjnie!

Dotrzymała słowa.

Któregoś dnia długo zostałem w „Halickiej”. Stefan powiedział, że przyjdzie jakiś nadziany gość i może liczyć na suty napiwek. Gość wyglądał niepozornie, drobny, w ciemnej marynarce i szuczkowych spodniach. Miał przyciętą w spide brodkę. Kelnerzy skakali koło niego jak opętani, lekując go „panie Wacku”. Zamawiał wyszukaną potrawę i najdroższe trunki. Regulując rachunek wsunął każdemu z obsługujących go po dziesięć dolarów. Na mnie nawet nie spojrział.

— Kto to jest? — dopytywałem się, ale zbyt mnie milczeniem.

Po paru dniach „pan Wacek” znowu się zjawiał. Ledwo go poznałem: nosił okulary, po wypięsłowionej brodzie nie było śladu. Do lokala kilka minut po nim weszli jacyś faceci rozglądając się dookoła. Jeden z braci Bochenków oddał mi rękę na stono.

— Ntch pan orzecuje pana Wacka. Nie wstał się pani dzisiaj. On czeka za rogiem...

Pan Wacek był nagrony i zaraz zaczął. Zecwał się skoro świt, połozyl na stole — nie, nie, żadne dolary, kilka banknotów dziesięciodolarowych, ukłonił się w progu i ulotnił jak kamfora. Miałem jeszcze sporo czasu, odwróciłem się, aż dostrzegłem...

— Jacyś panowie do pana — obudziła mnie panna Rippel.

— Posłuchajcie z nami — przybyły pokazał wskazki pod kłosa.

Ubrałem się i wyszedłem z gościem. Jeden z nich miał się masować lewą, drugi prawą ręką. Przem...

domem stała „Emka” z zapuszczonym sińkiem. Za szybą dojrzałem pana Wacka, siedział z tyłu ze spuszczoną głową, w towarzystwie unundurowanego milicjanta.

— Znaacie tego obywatela? — zapytał cywil uchylając drzwi.

— Znam, z widzenia. Przychodził do „Halickiej”, gdzie pracuje. Poprosił, żebym go przenocował, bo spóźnił się na pociąg...

Pojechaliśmy do siedziby NKGB. Niewtajemniczeni myla tę instytucję z NKWD, a to nie to samo. NKWD to Narodny Komissariat Wnutriennych Diel, coś jak nasze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a NKGB — Narodny Komissariat Gosudarstwiennoj Bezopasnosti, odpowiednik Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

— Co was łączy z tym obywatelem? — zapytał przy konfrontacji przesłuchujący mnie oficer.

Powiedziałem jak było, o Bochenku nie wspominałem. Po co rozszerzać krąg podejrzanych?

— Ten człowiek ma sporo na sumieniu — powiedział oficer, gdy pana Wacka wyprowadzono.

— Zajmiemy się nim szczegółowo, a wy możecie wrócić do pracy.

W „Halickiej” powitano mnie jak bohatera. Dopiero teraz zdradzono mi sekret pana Wacka. Przerzucił ludzi za wysoką opłatą do Wilna, skąd można było przedostać się na Zachód. Podobno podczas zasadzki zastrzelił pogranicznika.

Stefan miał chyba wyrzuty sumienia, że nie uprzedził mnie o grożącym niebezpieczeństwie. Ostatnio żył w gorączkowym oczekiwaniu: wysłał jakiegoś młodziana do Łodzi, po swą sympatię, córkę półczosznika. Po paru dniach cała i zdrowa zjawila się we Lwowie. Kuzyn szczerze wynagrodził umyślnego i zaprosił nas na swój ślub z Reginką. Teraz zrozumiem dlaczego tak się wykosztował na to mieszkanie!

Marylka odwiedzają mnie regularnie. Któregoś wieczora przy pożegnaniu powiedziała:

— Wiesz, Władek mi się oświadczył. Chce się ze mną żenić. Między nami nic się nie zmieni. Będę nadal przychodziła...

Ślub odbył się w niedzielę. W poniedziałek próżno oczekiwałem jej przybycia. Miał wtorek, środa, nadłuchiwałem zaszyfrowanego pukania do drzwi... nic, cisza. Poszedłem do Melmanów. Młodzieńcy zamieszkali w pokoju Marylki. Leżała w łóżku rozpromieniona, ślicznie wyglądała w cienkiej, jedwabnej kombinacji. Gdy zostaliśmy sami, chwyciłem ją za rękę.

— Co się stało? Dlaczego nie przyszedł?

— Słuchaj, on jest taki wspaniały... Taki męski...

Spotkało mnie jeszcze jedno niepowodzenie: „Halicka” upaństwowiono. Dotychczasowych współdziaławców zatrudniano w charakterze kelnerów, natomiast stanowisko pikolaka uznano za przerosł burżuazyjny, etat ten uległ likwidacji.

Zostałem na lodzie. Rozpytywałem znajomych czy nie wiedzą o jakiejś pracy. Obiecywali zasienią języka, a na razie dni mijaly, gotówka łopniała, przybyło mi sporo wolnego czasu i jeszcze więcej kłopotów.

Moja samotność nie trwała długo. Pałeczki po Marylce przejechała chuda jak szcapan, o plasier (wazycze, Sabinka, rodem z Nowego Sącza, Pracowała w „Halickiej” jako pomywaczka, redukcja statów jej nie obijała.

Ona też mnie podkarmiała. Miejsce dawnej pracy odwiedzałem jako gość. Sabirka zaprawiała herbatę mlekiem, żeby nie było widać w szklance grubego pokładu cukru, a gdy opuśczałem lokal, wsuwała mi do kieszeni owinięty w gazetę schaboszczak kib jakiś kociet.

Trochę podreperowałem budżet rzeczami bratowej z pozostawionej u Szlechterów walizki. Na „Wolkucze” posprzedawałem kombinacje z szermozu, biustonosze, spodniczki. Następna wizyta na bazarze przetrwał niezwykły widok: jakaś grajdanka dufflowała w kłopotonej a mnie halce, myślała, że to wyjęciowa sukienka.

Imałem się jeszcze różnych, dorywczych zajęć. Władzie nie potrafiłem zagrazać miejsca.

Kiedyś spotkałem Władka Polja, szwagra redaktora Polaka. Władek tułał się po Lwowie kilka tygodni. Porozmawiałem z pania Rippel, zgodziła się przyjąć pod swój dach nowego bieżniaka. Zamieszkał w moim pokoju.

W nocy straszliwy fetor uderzył mi w nos. — Na diabeł?

— Władek — potrafiłam zapanować na panie.

— Co się stało?

— Miałem przykra historię — przetrwał osy. — Miałem się do worka, wkłylem dwie pary kalesonów. Położyłem się w nich spać, w nocy zachciało mi się i zapomniałem o tej drugiej parze gaci. Przebraz...

Możesz? Jak się wysunął, to się wysunął.

Polj niedługo popasał pod współnym dachem. Nie było tu przynajmniej było powodów jego przedrepedacji. Razem ze mną zamieszkał swaj mel, bazyli. — Jacyś z osiemnastoletnią synką Mielichom, brat i bratanek Stefana. Uciekli po nas z Łodzi, przybyli tę samą trasą, zasiedzieli we w Białymstoku, dopiero gdy dowiedzieli się o mie...

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14			
15	16	17	18	19		20	21	22	23	24	25	26	27	28	29		
30	31	32	33		34	35	36	37	38	39	40	41	42	43			
44	45	46	47	48		49	50	51	52	53	54	55	56	57	58		
59	60	61		62	63	64	65	66		67	68	69	70	71	72		
73	74	75	76		77	78	79	80	81	82	83	84	85	86	87		
88		89	90	91	92		93	94	95	96	97		98	99	100		
101	102	103		104	105	106	107	108	109	110	111		112	113	114	115	
		116	117	118	119	120	121	122	123	124		125	126		127	128	129
130	131		132	133	134	135	136		137	138	139		140	141	142	143	
144	145		146	147	148	149		150	151	152	153	154	155	156	157		

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych przenieść do diagramu litery na miejsce odpowiadających im liczb i odczytać rozwiązanie — fragment powieści autora, którego imię i nazwisko (bez ostatniej litery) utworzą pierwsze litery 19 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom pomiędzy słowami tekstu.

### Wyrazy pomocnicze

1. kadownica łuczniaka — 29, 13, 37, 71, 108, 33, 20.
2. zgoda, zatwierdzenie — 15, 34, 50, 44, 87, 25, 30, 66.
3. panuje za małoletniego monarchę — 32, 7, 9, 69, 47, 27.
4. antypromieniotwórczy metal — 3, 19, 31, 23.
5. pojazd konny do jazdy okrakiem — 45, 2, 41, 21, 122, 43, 107.
6. stop na pomniki i dzwony — 14, 106, 123, 152.
7. koniec rzeki — 64, 146, 100, 124, 24, 52.
8. młot lub strug — 6, 35, 96, 12, 28, 154, 51, 59, 63.
9. miejsce działalności — 8, 102, 32, 36, 39, 90, 105, 46.
10. element drewnianej warowni — 16, 155, 153, 148, 132, 113, 136, 138, 74.
11. składają się na doby — 58, 73, 1, 62, 68, 89, 117.
12. omyłka — 112, 69, 57, 10.
13. komórka urzędu — 116, 11, 53, 83, 109, 115, 134.
14. zlewki kuchenne dla świń — 93, 131, 76, 133, 92, 103.
15. słowa miłości lub religia — 142, 40, 72, 127.

42, 120, 84, 157.

16. ośmiornice i inne mięczaki morskie — 4, 110, 55, 79, 88, 101, 104, 114, 156.
17. powieść Zeromskiego — 49, 78, 54, 128, 141, 86, 18.
18. malowany farbami wodnymi z białą farbą — 130, 150, 70, 38, 17.
19. zły z tytułu powieści Dostojewskiego — 140, 119, 31, 151.
20. twórca literackiej publicystyki — 5, 26, 76, 143, 85, 149, 85.
21. choroba, skóry, wyprysk — 129, 139, 97, 147, 145, 94.
22. między ubóstwem i nędzą — 98, 80, 144, 94, 121.
23. ściep w Ameryce Północnej — 77, 111, 61, 118, 124.
24. znaczne miasto-państwo w starożytnej Grecji — 95, 135, 137, 99.
25. miejsce klasztoru w 1871 r. — 58, 86, 82, 48, 125.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 16 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231, 29-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 15 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

„Najczęściej spotykamy takich, którzy za dobro odczynny uważają własne, a dla niego skłonni są poświęcić życie, ale cudze. Gdyby wprowadzić takie prawo, są ci, którzy głoszą za wolną musieliby wziąć w niej udział jako proci żołnierze, żadnych woleń by nie było. (Dioenes) Karol Bunsch „Aleksander”

Nagrodę wylosowała Maria Pietrusiewicz, ul. 1 Maja 126, 22-500 Hrubieszów.

Pojawiły się obwieszczenia: wszyscy „bieżący” mają się stawić tu i tu w celu ponownej rejestracji. Zadawano nam zasadnicze pytanie — chcicie pozostać w Związku Radzieckim, czy wrócić do Polski? Różnie ludzie odpowiadali. Jerzy i jego syn wyrazili chęć powrotu, tęsknili do rodziny. Ja trzeźwiej oceniłem sytuację. Chociaż musiałem się zdeklasować i było mi ciężko, miałem świadomość właściwego wyboru. Co mnie czekało u Niemców? O ich bestialstwach było głośno. Nie ma o czym mówić, zostaje i basta!

Minęło kilka tygodni, nadeszła upalna wiosna 1940 roku. Skończyłem dwadzieścia siedem lat, zdrowie mi dopisywało. Dziś z przerażeniem myślę co by było, gdybym się wtedy rozchorował!

Wieczory spędzaliśmy często z Jerzym i Mietkiem w „Marysińce”. Po premierze wróciliśmy około jedenastej w nocy do domu i ułożyliśmy się do spoczynku. Ledwo przyłożyliśmy głowy do poduszki, rozległ się dzwonek przy drzwiach. Kogo diabli niosą? To chyba nie Maryśka, zawsze pukala, zresztą na pewno śpi w najlepszym u boku swego męża, w którym odkryła tak nieograniczone możliwości...

Zaden z nas nie ruszył się z miejsca. Otworzyła zaspana córka gospodyni. Do pokoju weszło dwóch enkawudystów w towarzystwie milicjanta. Starszy ranga stanął przy łóżku Jerzego.

— Predjawił swoje dokumenty!  
Kuzyn podał mu dowód osobisty.  
— Sobirajtes, s wieszczami! (zabierajcie się z rzeczami).

Jerzy spoglądał na półprzytomnym wzrokiem, a ów starszy ranga potrząsnął za ramię drzemającego Mietka.

— A wy kto?  
— Syn...  
— Toż sobirajtes' z wieszczami!

Jerzy wszedł do gospodyni, wrócił z dwoma workami, do których przy pomocy Mietka począł upychać ich dobytek. Moje łóżko stało przy oknie. Z przyzwyczajenia leżałem w wtuloną pod kocem głową. Chyba nie wiedzieli, że jeszcze ktoś jest w pokoju. Zrobiło mi się głupio. Nie można przecieć być niemy świadkiem takich wydarzeń!

Wychyliłem się spod koca.  
— A w czym dielo, towarzyszczi? Po kakomu powodu ich uwoditje?

Obrócili się w moją stronę.  
— Nie wmiieszajtes!  
— Jak mam się nie wtrącać, kiedy zabieracie moich kuzynów?!

Poszeptali ze sobą i ten starszy zapytał:  
— A kak wasza familia?  
Wymieniłem swe nazwisko.

— Togda sobirajtes wmiestje! Poskoriejel!

Pani Rippel przyniosła trzeci worek. Klnąc na czym świat stoi, wyciągnęła z szafy swoje rzeczy. Nie podejmowałem już prób dalszej konwersacji. Jaki jest powód ich wizyty? Nie poczuwałem się do niczego. Jerzy i Mietek też z pewnością byli czysci.

Po upływie kilku minut, żegnani pełnymi współczucia spojrzeniami pani Rippel i jej córki, z workami na plecach, wyszliśmy na ulicę. Przed domem stała ciężarówka, półtoratonowy ZIS. Przysiągłbym, że to ten, którym próbowałem swych umiejętności szoferkich. Tylko wewnątrz stały ławki, wtedy ich nie było. Obsiedli je sami mężczyźni, podobnie jak my, nie zamawiali żadnego transportu. Były jeszcze wolne miejsca, ale gdy zajechaliśmy pod dalsze dwa adresy, samochód wypełnił się i z kompletem pasażerów pomknął uśpionymi ulicami miasta.

ZIS zatrzymał się przed budynkami dawnych koszar wojskowych przy ul. Piotra i Pawła. Sprawnie rozlokowano nas na dwupoziomowych przyczepach. Pachniały świeżym drewnem. Chyba je zbito tuż przed naszym przybyciem. Na podłodze wałowały się jeszcze wióry.

Pomieszczenia rozległych koszar roily się od narodu. Ludzi wciąż przybywało, samochód za samochodem zajeżdżał na dziedzińce.

— Poka lożytes', odychajkie zawtra w szest' czasow utra poluczitje zawtrak — zaanonsował cywil z koszarowej służby.

Mimo późnej pory, nikt nie myślał o śnie. Snułymi głośno różne domysły.

— Lwów to wojewódzkie miasto, nie każdy może się tu zameldować na stały pobyt. Co innego ci, co mieszkają od lat. Na pewno przewiozą nas do mniejszego miasta...

— To nie to — pokręcił głową starszy mężczyzna, z wyglądu inteligent. — Według mnie to całkiem inna sprawa. Zarejestrował się pan na powrót do Polski? — zwrócił się do tamtego.

— Tak.  
— Ja też. I wielu innych. Niech pan się postawi w ich sytuacji. To musiało wzbudzić podejrzenia. Jak to? Najpierw uciekacie do nas od Niemców, a potem chcecie do nich wracać?

— Ja się zarejestrowałem na pozostanie! — przyłączyłem się do rozmowy i opowiedziałem o tym, co się wydarzyło w naszym pokoju.

— Niepotrzebnie pan się wtracał i za dużo z nimi rozmawiał. Oni tego nie lubią...

— A może zabierają tylko tych, co nie pracują? — wyraził swą opinię ktoś inny. — Znacnie Stalinowska zasade: kto nie robotajet, tot nie jest!  
— Co pan wygaduje? — zamachał rękoma barczysty młodzian. — Pracowałem do ostatniego dnia przy obrabiarkach, na pierwszego maja dostalem premie jako stachanowiec!

W drzwiach stanął ten sam cywil.  
— Tiszyna, grahdanie. Lożytes' uže pozno, zawtra budietje rozzowariwat!

## Taki gips!

### Dokończenie ze str. 1

Tymczasem przecieć nie zlego się nie stało, obrazy wisiały jak się patrzy na I piętrze PDK, albo wysyłane w teren, szerzyły tam chwałę inicjatywy.

Aż tu niedawno, w lipcu, do domu kultury zjechała inspekcja z naszego UW, wyrażnie zainteresowana losem obrazów, co należy znać za fakt bez precedensu!

Płótna znaleziono w wielkiej szafie, gdzie spoczywały w oczekiwaniu lepszych czasów — lepszych, czyli zasobniejszych w moce finansowe, organizacyjne i ochotę ludności do oddawania się uciechom kulturalnym.

Kierując się opinią fachowca, z miejsca podjęto decyzję o składowaniu ich obrazów do konserwacji — na koszt obecnego szefa domu kultury! Wiadomo, idzie nowe, obowiązuje personalna odpowiedzialność za dobro i za zło, no i w rezultacie gospodarz owego domu będzie musiał wysypiać jakieś 350 tys. złotych, co przy jego zarobkach wydaje się matzeniem świętej głowy. No i dobrze mu tak — powiedzą zwolennicy nowej polityki ekonomicznej i społecznej.

Jako człowiek duszą i portfelem oddany tej polityce, ośmieliłem się przecieć wystąpić w obronie tego człowieka jako materiału dowodowy proponując protokół, sporządzony 11 sierpnia br. na okoliczność sprawy, a podpisany m. in. przez dyplomowanego konserwatora dzieł sztuki. Oto treść tego dokumentu:

(...) Wyżej wymienione prace mają drobne uszkodzenia (zadrapania, przetarcia, wypchnięcia, zabrudzenia). W większości wymienionych prac konieczna jest wymiana krosien na prawidłowe, tzn. na sfazowane i kłnowane.

Przyczyną zniszczeń wydaje się być niska jakość technologiczna i wykonawcza autorów. Jedną z przyczyn jest także upływ czasu i naturalnie z tym związany proces postępującego stopniowego zniszczenia. Uszkodzenia mechaniczne, które powstały w MDK Bełżycy, są bardzo nieznaczne i świadczą o stosunkowo dobrym sposobie przechowywania obrazów, mimo nie najlepszych warunków w nieprzystosowanym do celów ekspozycyjnych i magazynowych pomieszczeniu. Fakt powstania tak drobnych uszkodzeń wynika bardziej z tego, że obrazy nie posiadają w większej części odpowiednich ram, a jedynie obite są listwami, które nie zabezpieczają należycie samego obrazu, mogą powodować zadrapania lub zetarcia sąsiadujących obrazów. Dodatkową przyczyną uszkodzeń jest fakt, że autorzy stosowali techniki eksperymentalne, które z racji braku doświadczenia przyczyniły się do samodestrukcji.

Dodajmy, że wspomniane „techniki eksperymentalne” to kupa gipsu przylepiona do płótna lub gaza opatrunkowa i bodaj skarpeta w ramce, a więc materiały stosowane w sztuce współczesnej kilkadziesiąt lat wcześniej, tyle że ze znajomością murarki, stolarstwa i tym podobnych, wyrafinowanych rzemioł.

Okazuje się zatem, że nasi mistrzowie, w pełni państwowemu klientowi towar wybrakowany w momencie narodzin — może nawet w dobrej wierze, bo prze-

cież nikt nigdy w Polsce Ludowej nie wymagał od nich troski o odpowiednie krosna, przystoite ramy, trwałość powierzchni malarskiej. Kto by zwracał uwagę na takie trywialne duperele. Wszak sztuka to wielka sprawa Ducha i Rozumu, nie wypada zaglądać jej w zęby (technologiczne) — tym bardziej, jeśli płaci się za nią nie z własnej, lecz państwowej kasy. Przez wiele lat nie istniał w kraju prywatny nabywca dzieł sztuki współczesnej, jak świat światem kierujący się żelazną zasadą: płacę i wymagam, by towar spełniał wszystkie kryteria dobrej roboty. A instytucjonalny mecenas, o kompletnie zatartej odpowiedzialności personalnej, promował, owszem, twórczość, ale niejednokrotnie — sam fakt przynależności człowieka malującego do związku plastyków, którego do związku plastyków „Pan Kazio nie miał dawno zakupu, trzeba coś kupić od niego, wszak jest członkiem ZPAP, a my mamy obowiązek...”

W efekcie magazyny polskich muzeów zawałone są tandetą, która wlega „samodestrukcji”. Rozsądny też „szlachetny” są tak znaczne, że zmieściłaby się w niej bodaj i dywizja konserwatorów. Tylko po co?

Właśnie: po co? Bo jeśli chodzi o zdecydowaną większość obrazów bełżyckich to powinny one po prostu wrócić do autorów, może w formie upominku na Dzień Działacza Kultury? Te prace wstyd bowiem przynosić malarzom — nie tylko w szczególności technicznym, ale w ogóle.

Czas bezwzględny sędzią jest!

# Zgromadzenie świadków Jehowy

**Z**LE się dzieje na świecie, ludzie nienawidzą się wzajem, mordują, żyją w trwodze, rozwiązłości i chaosie moralnym, a wszystko to za sprawą Diabła — twierdzą świadkowie Jehowy. „Po objęciu władzy królewskiej Chrystus najpierw musiał w niewidzialnych niebiosach stoczyć wojnę z Szatanem. W rezultacie Szatan, który zwoził całą zamieszkaną ziemię, został zrzucony ze swymi aniołami w okolice Ziemi. Wiedząc o tym, że zbliża się jego zniszczenie doprowadza do wielkich trudności na Ziemi. „Biada ziemi i morzu, ponieważ zstąpił do was Diabeł z wielkim gniewem, wiedząc, że mało ma czasu” — przypominają wyznawcy Jehowy, jedyne Boga Wszechmogącego. Zbliża się zatem wielka rozprawa ze Złym, która przyniesie szczęście sprawiedliwym. „Jehowa za pośrednictwem swego Chrystusa użyje sił natury, żeby zadać druzgocącą klęskę wszystkim zwolennikom Szatana na Ziemi. Będzie to zagłada na skalę światową, przypominająca swymi rozmiarami potop z czasów Noego”. Czekają zatem Armagedon, bitwa boża, którą przeżyją jedynie „ludzie potulni”, szukający „Jehowy i sprawiedliwości”. Wszak zapisano w Biblii: „Samy potulni posiadają Ziemię i na pewno zachwycić się będą dostatkami pokoju”. Świat znów stanie się Rajem, do którego wejdą tylko wyznawcy jednej prawdziwej religii. Pozostali w proch się obrócą, po prostu umrą — jako że nie istnieją sfery piekielne czy czyściec, o czym wiadomo przecież z Biblii, nad którą nie masz innego źródła wiary i najwyższej mądrości. Z tej świętej księgi wzięła się też nazwa: „świadkowie Jehowy”, albowiem to imię własne Boga Wszechmocnego występuje w niej ponad 7000 razy. Inna sprawa, że organizacja ta, założona w 1914 roku w gminie adwentystów w Pittsburgu (USA) przez Karola Russella, zwała się początkowo, aż do wybuchu I wojny, Międzynarodowym Stowarzyszeniem Badaczy Biblii.

W tym nowym Raju lew będzie współżył z łagiem, a ludzie wszystkich ras nie zagnają niczego poza wielkimi szczęściami zbudowanymi przez Jehowę właśnie na Ziemi a nie gdzieś tam, w niebie. Na okładce broszury, z której zaczerpnięto prawie wszystkie przytoczone wyżej cytaty świadkowie Jehowy przedstawiają ów Raj, pod postacią idyllicznego ukwieconego pejzażu o charakterze takty podzwrotnikowym. Znajdujemy tam papugi, żurawie, lwa, pelikany i labędzie oraz gromadki nieodmiennie uśmiechniętych się ludzi, którzy całkowicie ubrani, nierządki w tzw. stroje narodowe gawędzą wesoło i popijają sok owocowy, prawdopodobnie grejfrutowy. Osoby te techną czystością, wiadają wyraźnie, że dbają o higienę osobistą i swoista elegancję przyodziewku. W podobnie słodkim stereotypie utrzymane są zresztą wizerunki ludzi w innych wydawnictwach świadków Jehowy.

Ta naiwna stylizacja, właściwa przecież dla publikacji odmiennych wyznań, znajduje niejaki przedłużenie — i to jest zdumiewające! — w sposobie bycia tych ludzi, którzy Chrystusa uważają za głowę zboru chrześcijańskiego, władcę zapowiadanego Królestwa Bożego na Ziemi. Można się było o tym przekonać podczas niedawnego (7-9 sierpnia) zgromadzenia świadków Jehowy na lubelskim stadionie „Motoru” przy al. Zygmunta. W tym okresie, dzień w dzień, na trybunach tego obiektu lokowało się około 12 tys. wiernych, przybyłych głównie z miast i wsi makroregionu, ale także z innych, dalszych województw, a nawet, sądząc po rejestracji pojedynczych samochodów, z Czechosłowacji.

Otóż, wszyscy ci ludzie byli schludnie przyodziani, zadbanie, bez przedchanki i pokrzykiwań zajmowali swoje miejsca na trybunach, bez szmerania spełniali polecenia porządkowych, a jak zaintonowali słodka pieśń nr 31 to nawet starzy agnostycy-obszernicy zgromadzenia mieli ochotę przyłączyć się do tego wieloletniego chóru. W okolicy organizacji spotkania była taka, że mogliby wzorować się na nich realizatorzy drugiego etapu naszej reformy gospodarczej. Punkty pomocy lekarskiej, przechowania bagażu, namiot dla matek z małymi dziećmi, kioski z napojami i słodyczkami, system informacyjny, sanitariaty z umywalkami, lustrami i wiadomymi stanowiskami z porcelitami o jakości znanej z pięciogwiazdkowych hoteli — to tylko materialne wyznaczniki ładu, porządku i pewnego komfortu, jakie określały organizację zgromadzenia. Zdecydnie z ustalonym harmonogramem realizowano też poszczególne punkty spotkania: przemówienia, dyskusje, dramaty sceniczne o tematyce biblijnej i współczesnej. Zalecano współwznowcom, by nabrali wstrętu do błędnych postępków świata i odpowiadano na pytanie: „Komu można naprawdę zaufać w tych okropnych czasach?”.

Świadkowie Jehowy dobrze się czuli na stadionie „Motoru” także i z tego względu, że własnoręcznie uporządkowali i rozbudowali (trybuny) ten obiekt. Koszt ich pracy oblicza się na kilka milionów złotych! Taka działalność stanowi zresztą stałą praktykę członków stowarzyszenia, którzy spieszą z pomocą nie tylko braciom i siostram w Jehowie.

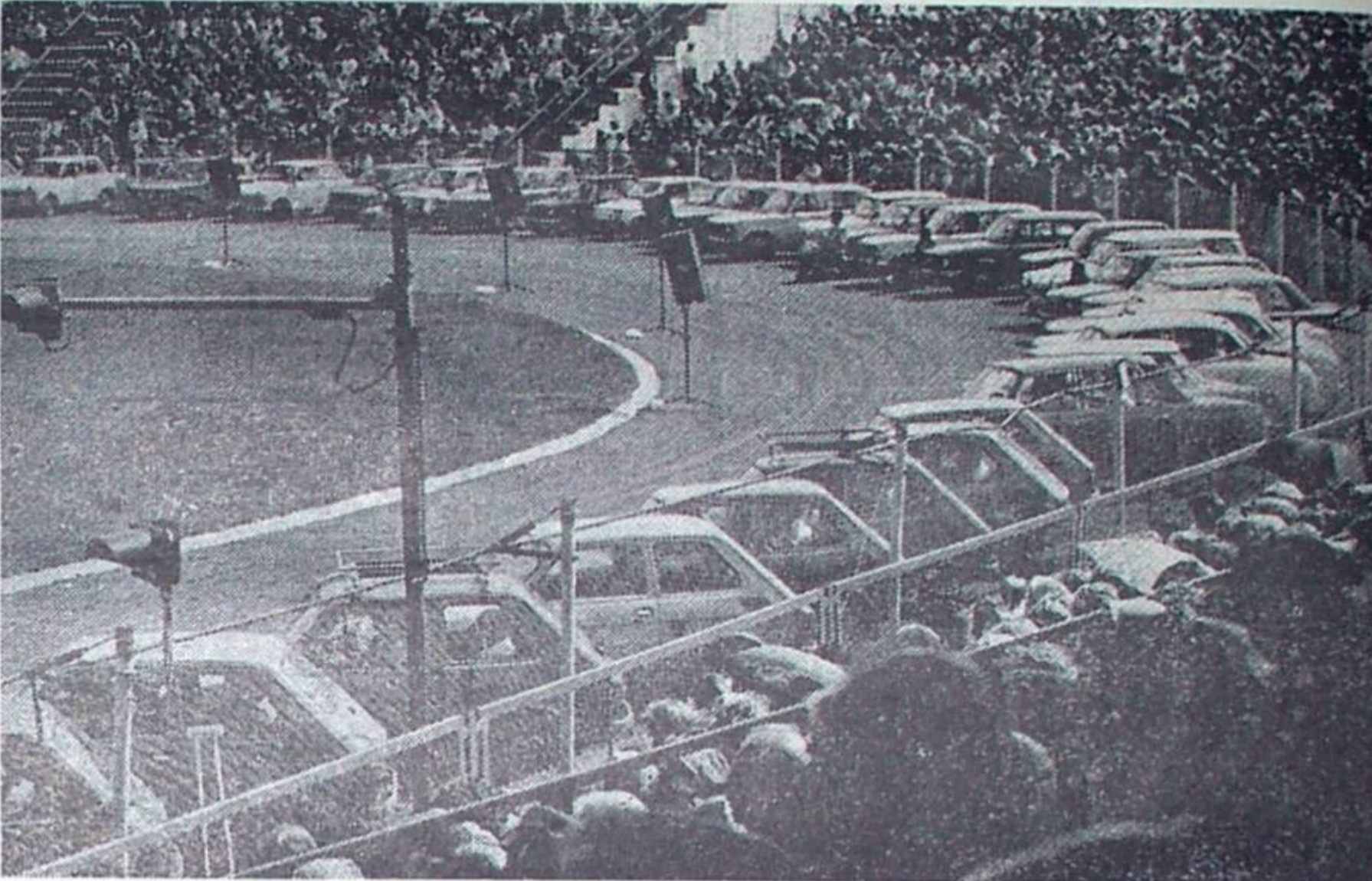
Badaj najważniejszym punktem zgromadzenia był chrzest około 400 osób, który odbywał się na pobliskiej pływalni. W większości przystąpili doń ludzie młodzi, w wieku od kilkunastu do trzy-

dziestu lat — całkowicie zanurzeni w wodzie przez dziesięciu mężczyzn w białych kostiumach. Ta ceremonia, niejako przemiana „zwykłego” człowieka w ordynowanego kaznodzieję, który następnie „usługuje rodzinie, przyjaciołom i innym ludziom, biorąc udział w głoszeniu [wiary] pod kierownictwem miejscowego zboru”. Poza studiowaniem Biblii i chrztem przez zanurzenie świadkowie Jehowy nie uznają żadnych obrzędów religijnych nie próbując też działać na emocje rozbudowaną scenografią swoich zgromadzeń. Funkcję ołtarza na stadionie pełniła prosta ściana z napisem: „Zaufaj Jehowie”.

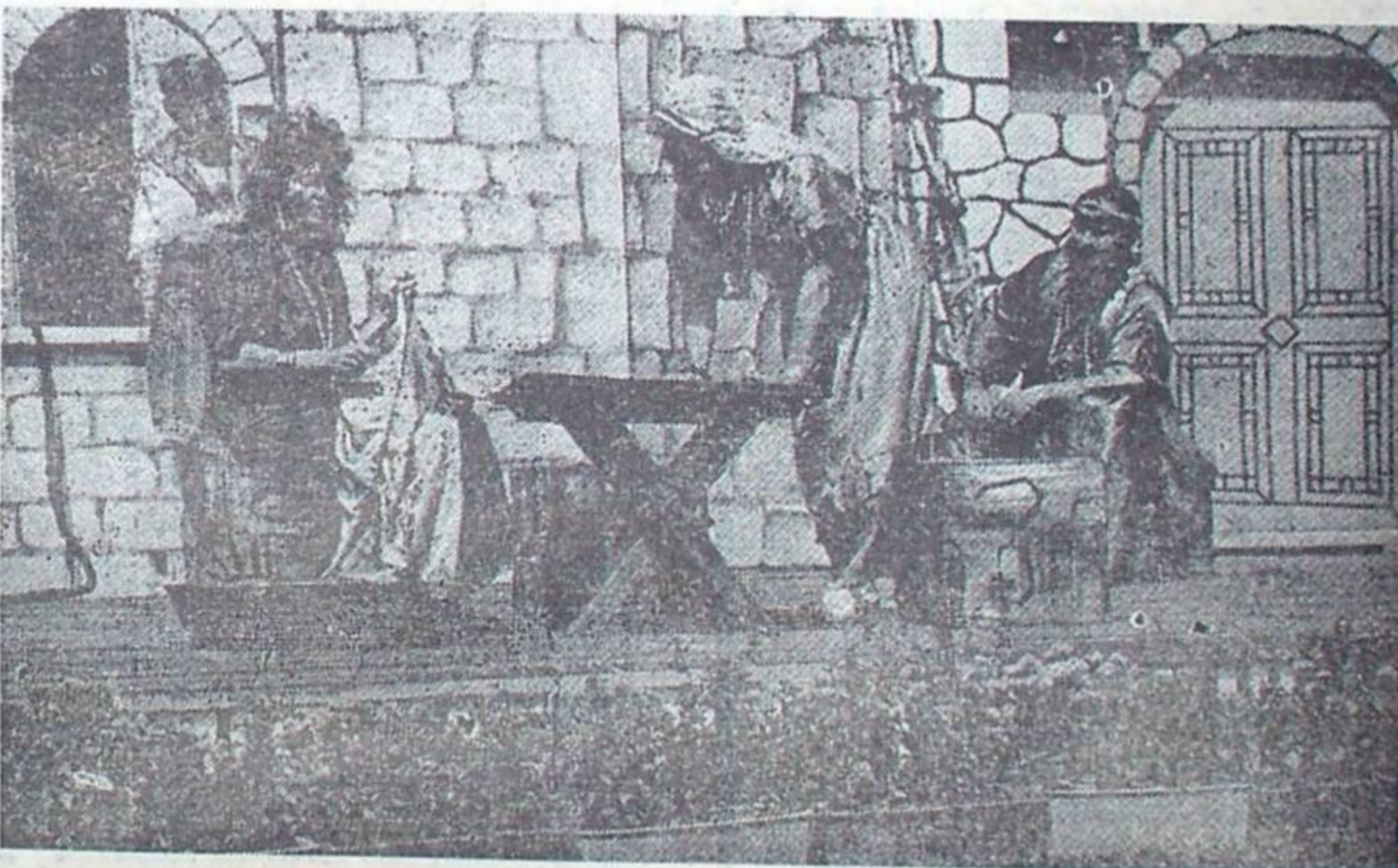
Można przypuszczać, że we wspomnianych dniach sierpnia liczebność stowarzyszenia (ponad 100 tys. osób w Polsce prawie 3 mln 300 tys. w 208 krajach świata) zwiększyła się o najmniej dwa tysiące, jako że zgromadzenia podobne do lubelskiego odbyły się nadto w Łodzi, Gdańsku i Szczecinie.



Chrzest na pobliskiej pływalni.



Zgromadzenie świadków Jehowy na lubelskim stadionie „Motoru”. Samochody dowiozły chorych...



Sceny biblijne. Fotografował Przemysław Ostrzyżek

Polscy świadkowie Jehowy to w większości rolnicy i robotnicy, aczkolwiek widoczna jest też grupa inteligencji. Jasna, przejrzysta doktryna, proste obrzędy, brak rozbudowanej hierarchii organizacyjnej, instytucji świętych, kapłanów i kościołów, a z drugiej strony lęki i konflikty współczesnego świata — to chyba jedne z zasadniczych powodów przystępowania ludzi do tego stowarzyszenia. Pragnąc postępować w myśl biblijnej rady: „Żyćcie ze wszystkimi ludźmi w pokoju”, świadkowie Jehowy, szczególnie ci w wieku pobożnym, wchodzą jednak w konflikt

z oczywistym i ważnym interesem państwa. Ale to szczególnie i osobny problem, który nie powinien przesłaniać autentycznych wartości, jakie reprezentują członkowie stowarzyszenia: uczciwość, poważny stosunek do pracy, gotowość niesienia pomocy innym, wolność od nalogów i pazerności na dobra doczesne, upodobanie do ładu i porządku.

Te wartości rzucają się w oczy nawet temu, kto nie wierzy w istnienie Szatana, a od Armagedonu bardziej obawia się wojny między ludźmi.

K.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Józef Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skróć. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. „KWN” w Lublinie ul. Unicka 4. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6 tel. 253-30. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/L. Telefony: sekretariat redaktor naczelny i ca. redaktora naczelnego 253-83 sekretarz redakcji 218-83 dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin skrytka pocztowa 231 poczone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1502, 18.08.1987, Z-5